

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne · cena 5 zł · nr 7-9 (259/261) · lipiec/wrzesień 2010

70. rocznica zbrodni katyńskiej



czytaj str. 9,10

St. post. PP Franciszek Pauch z Sączkowa (1897 – 1940) z rodziną.
Franciszka Paucha

Fot. ze zbiorów Marka Sawickiego z Przeworska, wnuka

Nieprzeciętni – edycja XX

Po raz dwudziesty redakcja „Wiadomości Kościańskich” przyznała doroczne nagrody za nieprzeciętne dokonania w życiu społeczno-gospodarczym i kulturalnym Ziemi Kościańskiej. Statuetkę z brązu, przedstawiającą tytułową stronę „WK”, otrzymało już kilkadziesiąt wybitnych postaci, wśród nich obcokrajowcy i przedstawiciele emigracji polskiej związani z Wielkopolską.

Laureatami XX edycji nagród „Wiadomości Kościańskich” za rok 2009 zostali:

„**Za mikrofon**” – red. Piotr Frydryszek z Poznania. Długoletni dziennikarz radiowy, prezes zarządu i redaktor naczelny firmy Polskie Radio Regionalna Rozgłośnia w Poznaniu, Radio Merkury S.A. W młodości aktor

Teatru Ósmego Dnia, absolwent UAM – magister filologii polskiej. Wybitny działacz charytatywny: prezes Stowarzyszenia Serce dla Serca; przewodniczący Rady Fundacji Chóru Stuligrosza i członek komisji rewizyjnej Fundacji Hospicjum Domowe w Poznaniu. Wielokrotnie nagradzany i wyróżniany. Orędownik i popularyzator dziennikarstwa niezależnego.

„**Za pionierskie inicjatywy samorządowe**” – pan Józef Jurga z Kościana (pośmiertnie). Długoletni radny, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Kościanie w latach 1984-1990. W latach poprzedzających zmiany systemu politycznego w kraju, podjął

ciąg dalszy str. 4

W numerze m.in.

**O patronie kościańskiej „czwórki”
Marianie Koszewskim
pisze Katarzyna Żurek
(4-5)**

**Dr Zdzisław Kościański
o dr. med. Franciszku
Roście
z Wielichowa
(7-8)**

**Kto zamordował milicjantów pod Kopaszewem?
– nowe szczegóły
ujawnia naczelnik
Rafał Kościański
z poznańskiego
oddziału IPN
(20-21)**

**„W oparach drukarskiej farby” – okupację wspomina
wybitny artysta grafik
Jerzy Skoracki
(23-26)**

**Zdzisław Wojtczak
w korespondencji z RPA
zagłada za kulisy
bitwy nad Krwawą Rzeką
(28-31)**

**19 maja 2010 r. zmarł w Kościanie w wieku 71 lat
po długotrwałej, ciężkiej chorobie**

śp.

mgr Józef Kubicki

Sekretarz redakcji „Wiadomości Kościańskich”,
Współpracownik „Gazety Kościańskiej”
Humanista, dobry i wrażliwy człowiek

**Straciliśmy przyjaciela,
na którego zawsze mogliśmy liczyć
Pożegnaliśmy go 22 maja br.
na cmentarzu komunalnym w Kościanie**

*Niechaj Go przytuli do siebie kościańska ziemia,
którą tak bardzo kochał*

**Rodzinie i znajomym Zmarłego
składamy wyrazy współczucia
Zespoły redakcyjne
„Gazety Kościańskiej”
i „Wiadomości Kościańskich”**

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), **Józef Kubicki** (sekretarz redakcji) oraz Alicja Żurek (marketing i kolportaż). Adres redakcji: 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax 65 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtysiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Nieprzeciętni – edycja XX

ciąg dalszy ze str. 1

i przeprowadził wiele inicjatyw twórczych. Był organizatorem słynnych Kościańskich Koncertów Noworocznych; jako jeden z pierwszych w Polsce nawiązał partnerskie kontakty z miastem Alzey w Republice Federalnej Niemiec; współtworzył „Wiadomości Kościańskie”; zabiegał o renowację miejsc pamięci narodowej. Na jego wniosek stworzono Nagrodę Twórczą Miasta Kościana „Pro publico bono”.

„Za przedsiębiorczość” – państwo Barbara i Eugeniusz Kusek. Współwłaściciele firmy „Hotel Pod Kaczorem” w Piotrowie Pierwszym i Przedsiębiorstwa Gastronomiczno-Hotelarskiego „Art-Gastro” Kusek i Bartoszak. Działalność gospodarcza państwa Kusek przyczynia się do uatrakcyjnienia i rozwoju Ziemi Kościańskiej. Pani Barbara i pan Eugeniusz wielokrotnie nagradzani byli w konkursach kulinarnych organizowanych przez Urząd Wojewódzki w Poznaniu (m.in. dwukrotnie zdobyli „Srebrny Widelec” i „Złoty Widelec”). Są także posiadaczami Certyfikatu Grand Prix Wielkopolski w kategorii hotelarsko-gastronomicznej w latach 2006, 2007 i 2008. Prowadzone przez nich placówki specjalizują się w tradycyjnej kuchni polskiej.

„Za inicjatywy edytorskie” – red. Hanna Hubaj-Ludowicz z Kościana. Rodowita wrocławianka. Znaczący hodowca psów myśliwskich. Od 1989 roku członek Związku Kynologicznego w Polsce. Hodowca seterów szkockich gordonów i jamników szorstkowłosych. Założycielka i pierwsza przewodnicząca Klubu Wyżłów Brytyjskich. Asystent sędziego eksterieru siódmej grupy – wyżłów i sędzia prób i pracy psów myśliwskich. Długoletnia redaktorka naczelną pisma „Psy Myśliwskie”. Wydawca i redaktorka książek o tematyce kynologicznej, wśród nich: „Rozród psów i odchów szczeniąt”.

„Za wybitne inicjatywy lokalne” – ks. Tadeusz Maćkowiak, pro-

boszcz parafii w Bielewie, dziekan dekanatu krzywińskiego. Miłośnik sztuki sakralnej. Organizator ośrodka duszpasterskiego, następnie parafii rzymsko-katolickiej w Bielewie. Inicjator budowy kaplicy w Stankowie, kościoła parafialnego pod wezwaniem Matki Bożej Pocieszenia w Bielewie, organizator pielgrzymek parafialnych do Rzymu, Fatimy i Medjugorie.

„Za regionalizm” – prof. dr hab. Zbigniew Wielgosz z Poznania, historyk-mediewista. Długoletni pracownik naukowy Uniwersytetu A. Mickiewicza, wicedyrektor Instytutu Historii, kierownik Zakładu Historii Średniowiecznej, przewodniczący Okręgowego Komitetu Olimpiady Historycznej. Wybitny znawca dziejów klasztoru benedyktyńskiego w Lubiniu. Współtwórca i redaktor naczelnego pisma „Zeszyty Lubińskie”. Autor i współautor (z prof. dr. hab. Kazimierzem Zimmiewiczem) publikacji o Kościanie i Ziemi Kościańskiej, m.in. „Kościan – zarys dziejów”. Laureat Nagrody Twórczej Miasta Kościana „Pro publico bono” w 1985 r. i „Nagrody Twórczej Miasta Krzywnia” w 1999 r. Współorganizator Studium Regionalnego PTPN w Kościanie w 1962 r. oraz długoletni członek Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej.

Ponadto, po raz XVI redakcja przyznała wyróżnienie za działalność samorządową **„Dobry Gospodarz”**. Otrzymał je pan Jan Nowicki, od 32 lat sołtys wsi Trzcinica w gminie Wielichowo. Dzięki jego staraniom do wsi doprowadzono gaz, wodę, zmodernizowano drogi, pobudowano chodniki, wyposażono świetlicę wiejską. Sołtys potrafił zachęcić mieszkańców Trzcinicy, nie tylko do pracy przy inicjatywach społecznych, ale także do zabawy na różnego rodzaju festynach. Wyróżniony tytułem „Sołtys Powiatu Grodzkiego” w 2005 r. Wysiłki sołtysa i wsi nagrodzono tytułem „za najbardziej uporządkowaną wieś w powiecie grodziskim”, a w 2006 r. „za szczególną estetykę otoczenia”. Gratulujemy. (t.m.)

Dobry patron

Szkoła Podstawowa nr 4 i Gimnazjum nr 4, tworzące Zespół Szkół nr 4 w Kościanie, obrały sobie patrona. Wybór uczniów, rodziców i grona pedagogicznego padł na rodowitego kościaniaka, znanego regionalistę Mariana Koszewskiego i jest to wybór – choć zaskakujący – to jednak pod każdym względem trafny. Dyrektor zespołu mgr Leszek Michalczak twierdzi, że osobowość patrona zawiera wszystkie pozytywne cechy, przydatne w kształtowaniu charakterów młodzieży szkolnej. Jednym zdaniem – Marian Koszewski jest wzorem godnym naśladowania.

- To postać znana w południowo – zachodniej Wielkopolsce, kojarząca się zawsze z Kościanem i Ziemią Kościańską; tutaj się urodził w 1923 r., tutaj ukończył Państwowe Gimnazjum i Liceum im. św. Stanisława Kostki; tutaj działał w konspiracyjnej organizacji harcerskiej „Pakt Czterech” i tutaj założył rodzinę – mówi dyrektor Michalczak. – Zналиśmy go wszyscy i nauczyciele, i uczniowie, i ich rodzice. Był związany z naszą szkołą, często spotykał się z młodzieżą, do naszej szkoły uczęszczały też jego dzieci, działał w komitecie rodzicielskim.

Wyróżniającymi cechami patrona były niebywała pracowitość i zdolność zdobywania wiedzy poprzez samokształcenie. Z zawodu ekonomista, specjalizował się w historii – szczególnie bliskie były mu tematy związane z przywracaniem pamięci o ofiarach II wojny światowej oraz z martyrologią Kościoła na Ziemi Kościańskiej w latach 1939 – 1945.

Miał tylko maturę, i aż maturę. Po powrocie z obozów założył rodzinę i to rodzina stanowiła dla niego pierwszoplanową wartość. Ale nie zakopał talentów w ziemi. Stale się dokształcał, znał doskonale język niemiecki, niezłe łącinę, angielski i rosyjski, opanował najnowsze metody badań historycz-

nych, całe tygodnie spędzał na poszukiwaniach dokumentów w krajowych archiwach, a jego wiedzę w wybranych dziedzinach szczerze podziwiali znani wielkopolscy historycy.

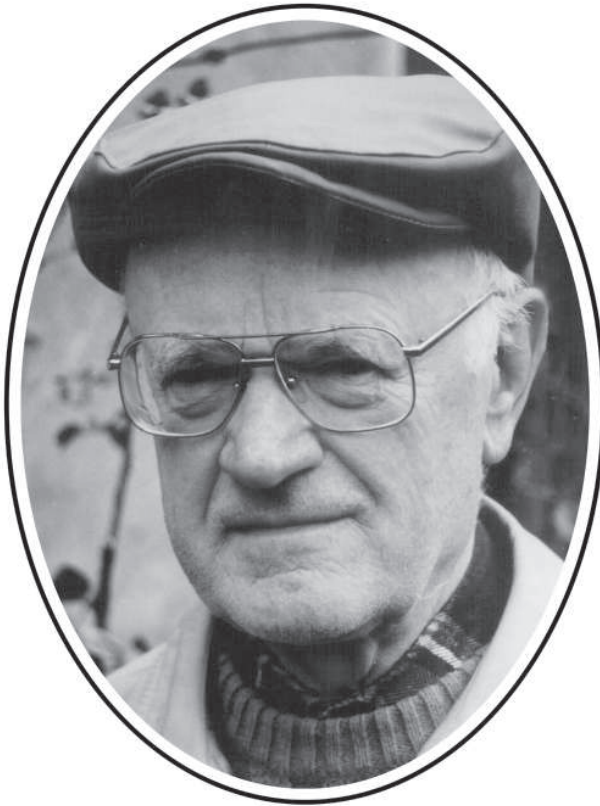
– Marian to solidna marka historyczno - regionalna, przedstawiciel perfekcyjnej szkoły badawczej. Niewielu było i jest historyków, którzy znaliby – jak on - problemy terroru niemieckiego w powiecie kościańskim w czasie okupacji 1939-1945 i którzy z taką pasją prowadziliby własne badania – twierdzi prof. dr hab. Bogusław Polak.

Na inne cechy osobowości zwraca uwagę najbliższy przyjaciel i długoletni współpracownik, uczeń i szwagier Mariana Koszewskiego - red. Jerzy Zielonka z „Panoramy Leszczyńskiej”. Jego zdaniem patron szkoły prezentuje sobą najwyższe wartości niezbędne współczesnemu Polakowi, a więc bezgraniczne umiłowanie Ojczyzny, wierność młodzieńczym ideałom oraz tolerancję dla ludzi o odmiennych poglądach:

- Patriotyzm nie był dla Marianka pojęciem teoretycznym. Jego umiłowanie Ojczyzny brało początek w Kościanie. Często mawiał, że trudno realnie kochać Polskę, jeśli nie kocha się własnych matki, ojca, domu rodzinnego, drzew w parku i na plantach, kapliczek, kościołów i wszystkich ludzi, którzy przed nami żyli nad Obrą. Poprzez to, że był lokalnym patriotą łatwiej mu było zrozumieć i odczuwać patriotyzm w rozumieniu globalnym; łatwiej też potrafił zrozumieć ludzi innych narodowości, i innych wyznań.

Niewątpliwym przełomem w życiu patrona szkoły była wojna. Miał wtedy 16 lat. Wraz z grupką rówieśników – Edmundem Rajewskim, Józefem Sałackim i Stefanem Szymkowiakiem – założył w Kościanie w 1940 r. konspiracyjną organizację „Pakt Czterech”. Z ostatnich badań wynika, że była to organizacja ściśle związana z „Szarymi Szeregami”. Wpadka nastąpiła w 1941 r. Marian Koszewski, poprzez areszty gestapo w Kościanie i Poznaniu, więzienie przy ul. Młyńskiej oraz Fort VII, trafił do niemieckich obozów koncentracyjnych Auschwitz i Mauthausen – Gusen. Miał szczęście, dużo szczęścia. Przeżył. Wrócił do rodzinnego Kościana ze swoim testamentem, który pozostawili mu współwięźniowie, idący na śmierć: - My ginimy, ale wy o nas nie zapominajcie. I wypełnianiu tego testamentu

PATRON SZKOŁY



Marian Koszewski
(1923 - 2006)

KOŚCIAN 2010

poświęcił całe swoje życie i znaczną część twórczości historyczno-regionalnej.

A więc: rodzina i praca, wiedza i samokształcenie, patriotyzm i umiłowanie Ojczyzny, religijność i tolerancja, bezgraniczna fascynacja przeszłością Kościana i Ziemi Kościańskiej, ciekawość ludzi, którzy tworzyli i tworzą nasze miasta i wsie – to zapewne nie wszystkie, ale łatwe do odszukania cechy patrona „czwórki”.

Był m.in. współzałożycielem i członkiem honorowym Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej oraz Stowarzyszenia Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie, długoletnim sekretarzem i członkiem Rady Programowo – Naukowej pisma regionalnego „Przyja-

ciel Ludu” w Lesznie, współtwórcą i członkiem Grupy Badawczej „Wierni Niepodległej” w Kościanie, współautorem prymasowskiego słownika biograficznego „Księża społecznicy w Wielkopolsce 1894 – 1919” oraz autorem licznych publikacji, a wśród nich autobiograficznej książki p.t. „Pamięć”. Zmarł 16 października 2006 r. w Kościanie, spoczywa na tutejszym starym cmentarzu katolickim. W 2005 r. otrzymał godność Honorowego Obywatela Miasta Kościana. 15 kwietnia 2010 r. Rada Miejska Kościana nadała Szkole Podstawowej nr 4 i Gimnazjum nr 4 w Kościanie imię Mariana Koszewskiego.

KATARZYNA ŻUREK



Migawka z sesji popularno-naukowej

Fot. Katarzyna Żurek

Siedem wieków Kielczewa

Kielczewo leżące w gminie Kościan uroczyste obchodziło 700-lecie lokacji na prawie niemieckim. Świętowanie rozpoczęło w piątek 25 czerwca 2010 r. sesją popularno-naukową o historii wsi. Sesję rozpoczął wójt Henryk Bartoszewski, a poprowadziła ją bibliotekarka Hanna Kaczmarek z Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Adama Tomaszewskiego. Mgr Jan Pawicki z Zespołu Powiatowego „Wierni Niepodległej” przedstawił referat – Zarys historii wsi Kielczewo; prof. dr Zbigniew Wielgosz z Uniwersytetu A. Mickiewicza z Poznania wygłosił wykład o lokacji Kielczewa na prawie niemieckim w 1310 roku; red. Jerzy Zielonka z „Panoramy Leszczyńskiej” przedstawił wybitne postacie wywodzące się z Kielczewa; dyrektor kościańskiej miejskiej biblioteki mgr Jadwiga Gidel zaprezentowała publikacje kielczewskiego nauczyciela Walentego Jezierskiego; a dyrektor biblioteki gminnej z Kielczewa mgr Katarzyna Wopińska przyczynę do dziejów bibliotekarstwa w Kielczewie; red. Teresa Masłowska z „Wiadomości Kościańskich” omówiła źródła do dziejów wsi Kielczewo.

Organizatorami sesji byli Wójt Gminy Kościan – Henryk Bartoszewski, Miejska Biblioteka Publiczna im. Adama Tomaszewskiego i redakcja „Wiadomości Kościań-

skich”. W sesji uczestniczyli m.in.: poseł na Sejm RP – Wojciech Ziemiński, przewodnicząca rady powiatu – Iwona Bereszyńska, przewodniczący rady gminy – Jan Szczepaniak, wicestarosta Edward Strzymiński i wiceburmistrz Kościana – Maciej Kasprzak.

Z okazji 700-lecia ukazało się monograficzne wydanie „Wiadomości Kościańskich” poświęcone historii Kielczewa i jego wybitnym postaciom. „WK” patronują zespołowi badawczemu złożonemu z historyków, regionalistów i dziennikarzy. Zespół ten przygotowuje do druku publikację „Szkice z dziejów Kielczewa”, której wydanie planuje się w przyszłym roku.

Główne obchody jubileuszu odbyły się w sobotę 26 czerwca. Na dziedzińcu kielczewskiej szkoły podstawowej oficjalną część uroczystości poprowadził dyrektor szkoły Roman Kurowski. Uczniowie przedstawili interesujący program artystyczny, na który złożyły się ważniejsze fakty z przebogatej historii wsi oraz patriotyczne wiersze i pieśni. Nie mogło zabraknąć występu - dumy szkoły - zespołu tańca ludowego „Obrzanie” z Kielczewa.

Następnie goście udali się przed szkołę, gdzie odsłonięto pamiątkowy kamień z napisem informującym o siedemsetleciu wsi. Kamień został poświęcony przez ks. kanonika Czesława Małychę, proboszcza parafii

Świętego Ducha w Kościanie. W budynku szkoły w Kielczewie urządzono interesującą wystawę pod hasłem „Ocalić od zapomnienia”. Zwiedzający mogli obejrzyć m.in. dawne sprzęty wiejskie, fotografie, dokumenty, książki i gazety, ilustrujące początki i rozwój wsi. W sobotnich obchodach uczestniczyli m.in.: patron obchodów jubileuszowych, wójt gminy – Henryk Bartoszewski, starosta kościański – Andrzej Jęcz, przewodnicząca rady powiatu – Iwona Bereszyńska, burmistrz Kościana – Michał Jurga, przewodniczący rady miejskiej – Piotr Ruszkiewicz oraz redaktor naczelny „Gazety Kościańskiej” – Jerzy Wizerkaniuk.

Do zorganizowania obchodów siedemsetlecia Kielczewa przyczynili się Wójt Gminy Kościan, Rada Sołecka Wsi Kielczewo, Szkoła Podstawowa w Kielczewie oraz Kielczewska Grupa Inicjatywna.

Uroczystości siedemsetlecia zbiegły się z zakończeniem roku szkolnego, dlatego też podsumowano wyniki konkursów szkolnych; zwycięzcom nagrody wręczał wójt Henryk Bartoszewski. W konkursie wiedzy pt. „Kielczewo – moja Mała Ojczyzna” najlepsza okazała się Marta Wilamowska, przed Marleną Marach i Marią Dudziak; w fotograficznym pt. „Moje Kielczewo” zwyciężyła Maria Dudziak przed Marleną Marach i Adrianną Żurek; w literackim pt. „Legenda o Kielczewie” najwyżej oceniono prace Kamila Kasztelana, Adrianny Żurek i Michaliny Hertmanowskiej. Nagrodę specjalną za udział w konkursach: literackim i fotograficznym otrzymał uczeń klasy IIa - Miłosz Kiciński.

Po południu kontynuowano świętowanie. Do Kościana ruszyło kilkudziesiąt bryczek konnych. Korowód przejechał przez miasto i wrócił do Kielczewa. Na nowym placu przy „Rolko” rozegrały się emocjonujące zawody konne w powożeniu. Największą atrakcją był występ kaskaderów z „Apolinarnski Group”, którzy statystują w polskich filmach historycznych, m.in. u reżysera Jerzego Hoffmana. Wieczorem odbyła się tradycyjna zabawa ludowa.

KATARZYNA ŻUREK

Wojenne losy doktora

Lekarz, Powstaniec Wielkopolski, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej i kampanii wrześniowej. Franciszek Rost, bo o nim mowa, w 1939 r. dostał się do niewoli sowieckiej. Przebywał w obozie w Kozielsku, a wiosną 1940 r. został zamordowany w Katyniu.

W tajnych organizacjach

Franciszek Ksawery Rost urodził się 5 listopada 1890 r. w Wielichowie w rodzinie Hieronima i Józefy z Góreckich. Szkołę podstawową ukończył w rodzinnym mieście. W latach 1902-1911 uczył się w gimnazjum humanistycznym w Gnieźnie. Związał się tam z organizacją Tajne Towarzystwo Zana. Był także członkiem tajnej organizacji trójzaborowej „Pet”. W lipcu 1910 r. pojechał do Królestwa (zabór rosyjski). Celem owego wyjazdu było nawiązanie łączności z tamtejszymi organizacjami. W latach 1911-1914 studiował medycynę; kolejno na uniwersytetach w Berlinie, Strasburgu, Lipsku. Absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu w Lipsku.

Działał w organizacjach robotniczych w głębi Niemiec. M. in. był członkiem tajnego związku akademickiego - Grupa Narodowa (GN), komisarzem tajnych organizacji gimnazjalnych TTZ na okręg północny byłej prowincji poznańskiej, członkiem dyrekcji Grup Narodowych na Rzeszę Niemiecką. Pod jego kontrolą znajdowały się gimnazja w Nakle, Rogoźnie, Wągrowcu, Bydgoszczy i Inowrocławiu. W czerwcu 1914 r., jako delegat dyrekcji „Grup Narodowych” na trójzaborowym zjeździe akademickim we Lwowie, uczestniczył w manifestacji antyniemieckiej, którą zorganizowano w pobliżu konsulatu niemieckiego. 1 lipca 1914 r. stanął na czele 40 pomorzaków i 60 poznaniaków, którzy zebrali się w Poznaniu w celu wyjazdu na kurs instruktorski do Galicji, konkretnie do Krakowa. Przebieg tego kursu, w którym Rost aktywnie uczestniczył był następujący:

„... Poznaniacy i Pomorzanie czwórkami ruszyli przez miasto podążając w kierunku kwater zorganizowanych w szkole im. Kochanowskiego. Następnie zwiedzili miasto, m. in. byli w gmachu uniwersytetu i wysłuchali wykładu



Dr Franciszek Rost w 1931 roku.

Fot. ze zbiorów autora

profesora Tokarza poświęconego powstaniu kościuszkowskiemu. Drugiego dnia wymaszerowali w kierunku Niepołomic, gdzie wzięli czynny udział w sypaniu Kopca Grunwaldzkiego, a na jego szczycie odśpiewali „Rotę”. Trzeciego dnia rozpoczęło się systematyczne szkolenie wojskowe. Rozpoczęła je musztra. Grupa Rosta po południu zwiedzała miasto, a później między innymi Wieliczkę. Kompania odbyła ćwiczenia z bronią (karabiny Werndla). Ogromne wrażenie na uczestnikach wywarły ćwiczenia dwóch kompanii Polskich Drużyn Strzeleckich w Krakowie. Po zakończonych ćwiczeniach uczestnicy wysłuchali przemówienia z okazji 504-tej rocznicy bitwy pod Grunwaldem”.

Na tydzień przed wybuchem I wojny światowej, grupa, w której znajdował się Franciszek Rost, opuściła Kraków i wszyscy uczestnicy zgrupowania rozjechali się do domów. Od sierpnia 1914 do 1918 r. doktor Rost, podobnie jak wielu Wielkopolan, zmuszony był do udziału w walce w armii niemieckiej. Pełnił służbę jako lekarz frontowy na stacji chirurgicznej szpitala polowego. Doświadczenia zdobyte podczas pracy w tajnych organizacjach niepodległościowych zaowocowały w Powstaniu Wielkopolskim oraz w dobie formowania się państwa polskiego. W grudniu 1918 r. na terenie Wielichowa przeprowadził szkolenie sanitarno-ratownicze oddziału PCK.

W powstańczych szeregach

Od 5 stycznia 1919 r. służył jako lekarz w szeregach powstańczej kompanii wielichowskiej - tworzył zaplecze medyczne kompanii i frontu zachodniego w zorganizowanym szpitalu w Rakoniewicach. Był przedstawicielem polskiej strony w rokowaniach dotyczących oddania Wolsztyna przez Niemców. Po 29 stycznia 1919 r. brał udział w walkach na froncie północnym, gdzie opatrywał rannych na polu bitwy m.in. pod Szubinem, Rynarzewem, Kcynią i Żninem. Jako lekarz baonu 8 Pułku Strzelców Wielkopolskich walczył na froncie

pod Rawiczem, Miejską Górką, Jutrosinem.

Po 11 listopada 1919 r. przesunięto go do 10 Pułku Strzelców Wielkopolskich (późniejszy 68 pułk piechoty), z którym od stycznia 1920 r. przebywał na froncie litewsko-białoruskim w okolicach Mołodeczna. Ciężka droga żołnierska osłabiła organizm doktora. W lutym tegoż roku zachorował na tyfus plamisty. 1 kwietnia 1920 r. awansował na kapitana lekarza. Od maja 1920 r. ponownie służył w szeregach 10 Pułku Strzelców Wielkopolskich - walczył m.in. pod Wilejką, Parafianowem, Głębokiem. W listopadzie mianowany dowódcą szpitala polowego 708 w ramach 17 Dywizji Piechoty. Od grudnia, do przeniesienia do rezerwy 1 maja 1921 r., był zastępcą szefa sanitarnego 17 Dywizji Piechoty.

Następnie pracował w klinice w Poznaniu. Od 1 kwietnia 1922 r. do wybuchu II wojny światowej był dyrektorem szpitala powiatowego w Nowym Tomysłu. 24 maja 1935 r. Franciszek Rost obronił doktorat z medycyny na Uniwersytecie Poznańskim. Aktywnie działał w kilkunastu towarzystwach i organizacjach społecznych, m.in. jako delegat powiatowy Związku Weteranów Powstań Narodowych. Ponadto był członkiem rzeczywistym Polskiej Korporacji Akademickiej „Baltia”. W latach 1922-1923 był prezesem pomorskiego koła akademickiego „Baltii”. Majorem rezerwy mianowano go w 1939 r. Podczas wojny w 1939 r. służył w szeregach Wojska Polskiego. Z 7 szpitalem okręgowym w Poznaniu ewakuował się na wschód.

Śmierć w Katyniu

W bliżej nie znanych okolicznościach dostał się do niewoli sowieckiej. Przebywał w obozie w Kozielsku, a wiosną 1940 r. zamordowano go strzałem w tył głowy w Katyniu. Lista Wywózowa 017/2 z IV 1940.

Pozostawił żonę i dwie córki. Rodzina dowiedziała się o jego śmierci w Katyniu z gazety „Goniec Krakowski” z 28 maja 1943 r. wydawanej w czasie okupacji w Krakowie. Znalaziono przy nim medalik, który jego żona założyła mu na szyję w dniu wyjazdu na wojnę oraz legitymację odznaczeniową i legitymację Krzyża Niepodległości.

Był żonaty ze Stefanią Małatyńską. Ich ślub odbył się 29 czerwca 1929 r. w Kościele Najświętszej Marii Panny w Krakowie (Kościół Mariacki), a małżeństwo pobłogosławił ks. Stanisław Kuliszak, powstańczy kapelan z Przemętu. Rostowie mieli dwie córki: Barbarę oraz Danutę. Syn Zygmunt, zmarł krótko po urodzeniu. W wojnę żona z córkami Barbarą i Danutą zostały wysiedlone do Kraśnika w województwie lubelskim. 30 marca 1944 r. jechały pociągiem, który uległ katastrofie pod Zemborzycami. Stefania Rost oraz córka Danuta poniosły śmierć, córka Barbara została ciężko ranna, ale przeżyła.

Franciszka Rosta odznaczono m.in. Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Walecznych. Dekretem Prezydenta RP został w 2008 r. awansowany na stopień podpułkownika.

ZDZISŁAW KOŚCIAŃSKI

Źródła informacji: CAW, Akta personalne 5134 i odznaczeniowe - KN t. 39, MN 25 II 1932, KW 1.101-1071; Amtliches Material zum massenmord von Katyn, Berlin 1943, 1610; AP Poznań, Akta ZPW w Poznaniu, 570, s. 4; AP Poznań, Akta miasta Nowy Tomyśl, s. 242, 265; Orędownik Urzędowy - Grodzisk, Nowy Tomyśl nr 41 z 13 VI 1923; Z. Kościański, *Rost Franciszek, [w:] Słownik biograficzny powstańców wielkopolskich 1918-1919. Pod red. A. Czubińskiego i B. Polaka*, Poznań 2002, s. 308-309; Z. Kościański, *Rost Franciszek (1890-1940)[w:] Powstańcy wielkopolscy. Biogramy uczestników Powstania Wielkopolskiego 1918-1919. Pod red. B. Polaka*, Poznań 2008, tom IV, s.151-152; Z. Kościański, *Młodzińcze lata F. Rosta*, „Wiadomości Nowotomyskie” 1986, nr 3, s. 2; H. Bagiński, *U podstaw organizacji Wojska Polskiego 1908-1914*, Warszawa 1933, s. 625-626; Kazimierz Szcześniak, *Wielichowianie w walce o wolność [w:] Materiały do historii Powstania Wielkopolskiego 1918/19. /red./ T. Jabłoński*. Poznań 1938, s. 75-76; H. Florkowski, *Pół wieku działalności PCK na ziemi kościańskiej 1919-1969*. „Jednodniówka”, Kościan 1969, s. 9-10; Relacja wnuka prof. dr. hab. Romana Świetlika.

Rozstrzelani w Twerze

5 maja 1940 r. st. posterunkowy Franciszek Pauch, a z nim inni policjanci wymienieni na liście Nr 054/1, znaleźli się w wagonach odjeżdżających z Ostaszkowa do Kalinina. Jeńców umieszczono w celach więziennych. Później wyprowadzano pojedynczo, sprawdzano nazwisko, imię, rok urodzenia, zakładano kajdanki i prowadzono do piwnicy więzienia wewnętrznego, gdzie w specjalnym dźwiękoszczelnym pomieszczeniu zabijano strzałem w tył głowy.

Nocne egzekucje

W Kalininie, obecnie Twer, co noc rozstrzeliwano po 200-250 jeńców, następnie ciała wywożono ciężarówkami w okolice wsi Miednoje i zagrzebywano w dole wykopanym koparką. W rozstrzeliwaniach uczestniczyło około 30 osób, pod nadzorem przysłanego z Moskwy, głównego kata NKWD, mjr. Wasilija Błochina. Przed egzekucją Błochin ubierał się w specjalny strój: brązową skórzaną czapkę cyklistówkę, długi skórzany brązowy fartuch i rękawice z mankietami sięgającymi powyżej łokci, jak u pracowników rzeźni. Enkawudzista spędził w Kalininie miesiąc i w tym czasie rozstrzelano tam około 6 tysięcy Polaków.

W maju 1940 r. Franciszek Pauch miał 43 lata. Urodził się 30 marca 1897r. w Sączkowie w byłym powiecie śmigiełskim w rodzinie Stanisława i Elżbiety z Maniów. Ukończył 4 klasy szkoły powszechnej. W 1913 r. wyjechał w poszukiwaniu pracy do Niemiec do miejscowości Suderwich koło Recklinghausen, potem przeniósł się do Ligten-Dortmund, Habinshort, Buer. Aktywnie działał w tamtejszych Towarzystwach Gimnastycznych „Sokół”. W 1917 r. powołano go do wojska niemieckiego do Metz, ale już w czerwcu tegoż roku zdezerterował do Holandii, gdzie przebywał do grudnia 1919 r. Także w Holandii działał w „Sokole” w miejscowościach Scunberg, Heerlen i Kerkrade.

Wrócił do Polski. 13 kwietnia 1920 r. wstąpił do Policji Państwowej we Lwowie, gdzie pełnił służbę bezpieczeństwa. 31 sierpnia 1922 r. przeszedł do służby w policji województwa śląskiego, najpierw w Komendzie Powiatowej Bielsko (do 30 września 1924 r.), następnie w powiecie świętochłowickim na Posterunku Karol-Emanuel (do 30 września 1926 r.), w Łagiewnikach Śląskich

w: Komisariacie (do 31 marca 1928 r.), na Posterunku Granicznym (do 20 grudnia 1938 r.), a po zajęciu Zaolzia w Komisariacie Bogumin Nowy powiat frysztacki (do 25 maja 1939 r.), następnie służył w Wydziale Śledczym Frysztat.

1 sierpnia 1923 r. Pauch awansował na starszego posterunkowego. 24 IV 1928 r. ożenił się z Franciszką z domu Przydróżną (ur. 19 marca 1903 - zm. 2 września 1983 r.) ze Śniat. Mieli trzy córki: Aurelię, Wandę i Stefanię.

Miesiąc wcześniej od brata

We wrześniu 1939 r. Paucha ewakuowano w rejon Lwowa, gdzie po raz ostatni widział się z żoną i dziećmi. W nieznanych okolicznościach dostał się do niewoli sowieckiej i trafił do obozu w Ostaszkowie. Był odznaczony: Meda-



Pauch Franciszek w mundurze policjanta.

Fot. ze zbiorów Marka Sawickiego z Przeworska, wnuka Franciszka Paucha

► lem Pamiątkowym Dziesięciolecia oraz Medalem Pamiątkowym za wojnę 1918-1921. W 2008 r. Prezydent RP Lech Kaczyński mianował go na stopień aspiranta PP.

Franciszek Pauch miał brata Stanisława urodzonego 5 maja 1887 r. w Sączkowie, który także służył w PWŚL. Początkowo służył w Katowicach w sekcji śledczej Komisariatu Dworzec (do 30 września 1927 r.), następnie w Ekspozyturze i Wydziale Śledczym, skąd 22 grudnia 1938 r. został delegowany na Zaolzie. Od 6 marca 1939 r. pełnił służbę w Wydziale Śledczym we Frysztacie. Starszym posterunkowym mianowany został 1 stycznia 1928 r. Rodziny nie założył. Stanisław Pauch także w nieznanych okolicznościach dostał się do niewoli sowieckiej i trafił do obozu w Ostaszkowie. Na listę wywózkową trafił o miesiąc wcześniej od brata – lista Nr 05/2 z 5 IV 1940 r. W 2008 r. został mianowany przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego na stopień aspiranta PP.

*

W obozie ostaszkowskim znajdował się także trzeci członek rodziny - starszy posterunkowy policji Józef Zadoń, syn Hilarego i Józefy z Henyselów, urodzony 17 stycznia 1898 r. w Wilkowie Polskim. Ożenił się z siostrą żony Franciszka Paucha. Co najmniej od 1936 r. pełnił służbę w policji woj. stanisławowskiego, a we wrześniu 1939 r. na Posterunku w Śniatyniu. Podobnie jak Franciszek i Stanisław Pauchowie dostał się do niewoli sowieckiej i został zastrzelony w Kalininie – lista nr 05/4 z 5 IV 1940 r. Odznaczony m. in.: Medalem Pamiątkowym za wojnę 1918-1921. W 2008 r. został mianowany przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego na stopień aspiranta PP.

ZENON JÓ•WIAK

Źródło: CAW AP 86; CAW KKiMN Odrzucone 6 XII 1932; Miednoje. Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego. Tom 2. M-Ż. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Warszawa 2006, s. 666, 1039; J. Tucholski, Mord w Katyniu. Warszawa 1991, s. 335; Mećisław Borák, Symbol Katynia. Czeski Cieszyn 1991, s. 97; Informacje Marka Sawickiego z Niska, wnuka Franciszka Paucha.



Kilkuletnia Maria Krzyżańska Fot. z arch. Marii Krzyżańskiej

Łączniczka

Z AK

Maria Krzyżańska z Poznania, wiceprezes Okręgu „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej jest skromna. Trudno ją było namówić na okupacyjne wspomnienia o czasach, kiedy była łączniczką w piotrkowskim oddziale Kedywu kapitana „Morusa” – Hilarego Moraczewskiego. - Nie uważam, żebym zrobiła coś nadzwyczajnego, o czym warto pisać. W tamtej wojnie brało udział wielu naprawdę dzielnych Polaków - ja byłam tylko małym pionkiem

w szeregach Armii Krajowej. Nie uważam, żebym się jakoś specjalnie zasłużyła.

Młodziutka łączniczka przenosiła rozkazy, broń, prowadziła nasłuch radiowy, przeprowadzała ludzi ukrywających się przed gestapo z jednej kryjówki do innej. Dom, w którym mieszkała z rodzicami i siostrami w Piotrkowie Trybunalskim był punktem kontaktowym Armii Krajowej. Nad tym, że w razie dekonspiracji groziła jej śmierć Maria Krzyżańska przemyka się bez rozczulania się; wspomni jedynie, że była aresztowana po ogólnej wyspie AK w Piotrkowie

Trybunalskim, że później wraz ze starszą siostrą Ewą musiały się ukrywać aż do końca wojny. Przecież tak należało postępować, takie zasady wyniosła z domu.

Na wysiedleniu

Maria Krzyżańska, z domu Mikołajczak, urodziła się w zamożnej i szanowanej gnieźnieńskiej rodzinie. Rodzice posiadali dwie drogerie i hurtownię paliw. Ojciec był działaczem Stronnictwa Narodowego. W Gnieźnie endecja była silna, a jej członkowie wzajemnie się wspierali. Maria ukończyła sześcioklasową szkołę prywatną, przed wojną zdążyła jeszcze zaliczyć dwie klasy Gimnazjum im. Błogosławionej Jolanty w Gnieźnie. We wrześniu 1939 r. rodzina Mikołajczaków zebrała trochę dobytku i ruszyła w kierunku Warszawy. Po długiej tułaczce i klęsce wrześniowej wrócili do Gniezna. Kilka dni później, gdzieś pod koniec października, ojca Łucjana Mikołajczaka z innymi obywatelami miasta aresztowano jako zakładników. Kiedy siedział w więzieniu przy Rynku w Gnieźnie, do ich firmy wkroczył treuhänder, żeby zarekwirować drogerie.

- Ojca zwolnili wieczorem, a już nazajutrz przyszli nas wysiedlać. Jeśli dobrze pamiętam był 11 listopada 1939 r. Siedzieliśmy przy śniadaniu, kiedy do mieszkania weszło kilku folksdojczy. To było pierwsze wysiedlenie w Gnieźnie i jedno z pierwszych w Wielkopolsce. Dali nam kwadrans, ale czegośmy nie dotknęli nie pozwalali zabrać - nawet pościeli. Ojciec był wybuchowy, strasznie się zdenerwował i wypalił do jednego z nich, bo go znał: - Ty niemiecki parobku, żarłeś polski chleb, a teraz się wysługujesz Niemcom. Na ulicy czekała ciężarówka. Nie wiedzieliśmy co nas czeka, czy nas wywiozą do obozu czy zastrzelą.

Po miesięcznym pobycie w gnieźnieńskim obozie rodzinę Mikołajczaków wysiedlono do Piotrkowa Trybunalskiego. Na początku mieszkali kątem u wdowy. Maria kontynuowała naukę na tajnym nauczaniu, ukończyła gimnazjum i dwie klasy liceum, zdała maturę.

- Moich nauczycieli wspominam z wielkim szacunkiem, naprawdę się sprawdzili. Dla bezpieczeństwa każda lekcja odbywała się w innym domu. Bardzo się starali, uczyli nas narażając życie. Teraz nas stawia się za przykład, ale nie byliśmy znowuż takie święte.

Jednego dnia poszliśmy sobie - jakby nigdy nic - na węgry. Kiedy się spotykam z przyjaciółką z tamtego okresu, zawsze wspominamy, jakie byliśmy nieznośne i głupie. Ale młodość ma swoje prawa. Urządziliśmy nawet studniówkę, muzykę „puszczałyśmy” z pateronu zarekwirowanego z niemieckiego kina. Do dzisiaj go mam.

Akowska przysięga

Pierwszą przysięgę - razem ze starszą siostrą Ewą - złożyła jeszcze w Narodowych Siłach Zbrojnych. Organizacja działała niemrawo, nie otrzymywały żadnych poleceń, nie organizowano akcji przeciw okupantowi.

- A myśmy się rwały do działania - szczególnie Ewa. Wkrótce spotkała człowieka, który po jakimś czasie wciągnął ją do konspiracji. To był Hilary Moraczewski, ps. „Morus” - komendant Kedywu na Inspektorat Piotrków Trybunalski. Siostra kierowała łącznością konspiracyjną kobiet i pracą kancelarii Kedywu Sztabu Dywersji „Sad” w Piotrkowie. Mnie także włączono do konspiracji. To już była Armia Krajowa. W grudniu 1942 r. przysięgę odebrał ode mnie Henryk Krzyżański, ps. „Stefan” - mój przyszły mąż. W pokoju panował półmrok, który tworzył tajemniczą, romantyczną atmosferę. Było nas cztery, może pięć dziewcząt i wszystkie - jak jedna - byliśmy jednakowo przejęte.

Dom rodziców już wcześniej był punktem kontaktowym, ojciec też działał w akowskiej konspiracji, z czym się specjalnie przed córkami nie zdradzał. Ich mieszkanie, do którego prowadziły dwa wyjścia, z dużym podwórzem, gdzie zajeżdżały wozy z prowiantem dla akowców, było idealnie położone.

- Rodzice radzili sobie jak mogli, prowadzili sklepik spożywczy. Na ladzie stał kosz z jajkami, raz mamusia weszła i chciała zabrać kilka na kolację, natknęła się na ukryte tam pistolety. Prawie zemdlą. Ale dzielnie to zniosła, odłożyła jajka i wyszła. Dopiero wtedy się zorientowała, co się naprawdę w domu dzieje. Wkrótce po drugiej stronie schodów zwolniło się mieszkanie, nam było ciasno w piątkę, więc je zajęliśmy. Tam właśnie odbywały się narady i odprawy piotrkowskiego Kedywu.

Do obowiązków młodej łączniczki należała obsługa punktu kontaktowego, pomoc siostrze w pracach kancelarii, nasłuch radiowy, pisanie rozkazów na zrzutowej miniaturowej maszynie do

pisania, dostarczanie wiadomości i listów. W Kedywie nie bawiono się w ulotki, za to w izbie naprzeciwko zbierał się sąd wojskowy, który wydawał wyroki na zdrajców, skazano m.in. kilku szczególnie okrutnych granatowych policjantów, szefa urzędu zatrudnienia, konfidenta Gestapo.

Najtrudniejsze chwile

Wsypa nastąpiła w maju 1944 r. Mikołajczakowie musieli zniknąć: ojciec z Ewą wyjechali do Warszawy, Marię umieszczono w majątku pod Piotrkowem, matka z Ireną pojechały do Radomia. Po jakimś czasie sytuacja nieco się uspokoiła, rodzice z najmłodszą siostrą wrócili do Piotrkowa. Ojciec ciężko zachorował i - mimo najlepszej opieki trzech łódzkich chirurgów - zmarł po dwóch tygodniach. Po Powstaniu Warszawskim do ich mieszkania napływali uchodźcy. Konspiracja konspiracją, ale potrzebującym trzeba było pomóc. Dom był więc podwójnie obciążony. Wcześniej, bo w lipcu 1944 r. w Mokrej zawiązał się 25. pułk piechoty AK, żołnierze stanęli do walki w akcji „Burza”. Z frontu wschodniego napływały optymistyczne informacje, przez co zakonspirowanie jakby zelżało, co potem okazało się brzemienne w skutkach.

- Kiedy w październiku 1944 r. gestapo przyszło nas aresztować, po drugiej stronie nocował Henryk Krzyżański. Potem opowiadał, że przeżył najtrudniejsze chwile w życiu. Bił się z myślami, czekać czy uderzyć z jednym pistoletem? Nie miał szans, a atak mógł spowodować śmierć na wszystkich mieszkańców. Dziwne, ale gestapo nie przeprowadziło rewizji w mieszkaniu, w którym było pełno obciążających materiałów.

Siostry przewieziono do aresztu gestapo w Piotrkowie. Gestapowiec Ślżak prowadził Marię z przesłuchania i szepnął: - Jeśli masz jej coś do przekazania - mów. W kilku słowach powiedziała Ewie, co zeznała w śledztwie. To je uratowało, poza tym szły w zaparte i do niczego się nie przyznawały. Kiedy po trzech dniach je wypuszczono, nie mogły uwierzyć w swoje szczęście do tego stopnia, że Maria widząc na ulicy niemiecki samochód chciała do niego wsiąść. Całą rodzinę, jako

uchoźców z powstania przerzucono do Rawy Mazowieckiej. A tam znów wsiapa, kontakt spalony. Pomógł przypadkowo spotkany ksiądz. Po jakimś czasie matka z Ireną wróciły do Piotrkowa, Ewa z Marią wyjechały do Wolborza.

- Mieszkałyśmy z jakimiś starszkami w chacie za wsią, żeby nie wzbudzać podejrzeń w ogóle nie wychodziłyśmy. Nie pamiętam, co robiłyśmy, chyba całe dnie graliśmy w brydża. Henryk był z nami, ale wyjechał po mianowaniu go na

kwatremistrza 25. pułku. Wtedy na kwatremistrzów brano najlepszych, bo jak potrzebny był cukier – to się go zdobywało, jak skóra – zatrzymywało samochód, brakowało pieniędzy - z pistoletami szli do banku. Na święta Bożego Narodzenia Henryk pojechał do Piotrkowa odwiedzić ciężko chorą matkę. I wpadł. Pomyśleć, że 17 stycznia 1945 r. Niemcy opuścili miasto, a jeszcze w grudniu go aresztowali i nieludzko skatowali. Nigdy do tego nie wracał, raz tylko wspominał, że trudno wytrzymał masce gazowej bez powietrza.



Maria i Henryk pobrali się w 1946 r.

Fot. z arch. Marii Krzyżańskiej

Niedobitki i maruderzy

Z piotrkowskiej siedziby gestapo przewieziono go do więzienia. Zachował się jeden jedyny gryps, w którym domagał się: „Przysłójcie mi gnata, bo chcemy się uwolnić stąd.” Więźniowie broni nie mogli się doczekać, więc wyrwali nogi od stołu i rozbroili strażników, ale ci zdążyli powiadomić gestapo. Wywieziono ich do stacji w Piotrkowie i wsadzono w pociąg. W czasie nalotu sowieckich samolotów pod Koluśzkami, uciekli. Henryk wrócił do Piotrkowa, a potem lasami przedostał się do Wolborza, gdzie czekała na niego Maria. Wcześniej z siostrą przeżyły niejedną chwilę grozy. Wojna dobiegała końca, a do chaty w Wolborzu zachodzili na zmianę, niemieccy i rosyjscy żołnierze.

- Jednego dnia przybłąkali się Niemcy z frontu francuskiego. Jeden z żołnierzy kazał nam się zamknąć w izbie, sam położył się w poprzek tarasując drzwi. Rano już ich nie było, zaraz po nich na horyzoncie pokazali się Rosjanie. Najpierw pojawił się jeden – obraz nędzy i rozpacz: obdarty, karabin uwiązany na sznurku, na nogach łąpcie, jak przyszli inni, to ich przegonił. Potem do okna zapukał zabiedzony Niemiec, pytał o „Brot”, ale my nie miałyśmy żadnego chleba. Wróg, bo wróg, ale było mi go żal.

Około 18 stycznia 1945 r. siostry wróciły z Henrykiem do Piotrkowa. Ewa z Henrykiem pojechali do Gniezna zając ich przedwojenne mieszkanie. Kilka dni później ubecy aresztować przyszli Marię. Pytali o Marię Mikołajczak, poszła więc matka, także Maria. Na miejscu stwierdzili, że nie o nią chodzi. Zamieszanie trwało kilka dni. Tymczasem Maria na próżno szukała pomocy, prosiła znajomych, żeby ją przechowali. Nie zgodzili się, oddali tylko pistolet „Morusa”, który schowała w skrzyni z piaskiem, wyszła na ulicę i została aresztowana. Młodej łącznicy na ogół nie brakowało rezonu, ale kiedy zobaczyła w więzieniu same Niemki i pijanych ubeków, serce w niej upadło.

- Mój widok bardzo ich ucieszył. Zaczęłam okropnie wrzeszczeć, aż pojawił się komendant Maksymiuk – tak się chyba nazywał. Powiedziałam, że jestem Polką, boję się tam zostać, bo mnie zgwałcał. Zaczął mnie prze-

słuchiwać, bardzo dużo wiedział o AK, o Henryku, Hilarym, znał pseudonimy, nazwiska. Stwierdził, że musi mnie zatrzymać, no to znowu zaczęłam się awanturować. Zachował się jednak przyzwoicie, przydzielił żołnierza, który mnie przyprowadzał na przesłuchania. Trwało to dwa dni, a potem mnie puścili.

Ubeckie naloty

Do Gniezna wróciła w lutym 1945 r. Rodzina – na jakiś czas - odzyskała drogerie i mieszkanie. Jeden sklep prowadziła Maria, drugi matka z Ewą. Wojna się skończyła, jednak spokoju nie było. UB urządzało rewizje i naloty. W 1953 r. wpadli do mieszkania, wymachiwali pistoletami, zaczęli przeglądać książki strona po stronie, przeszukali każdy kąt, aresztowali Henryka Krzyżańskiego. Prawdopodobnie trafili do Krzyżańskich za Kazimierzem Załęskim „Bończą”, dowódcą Oddziału Partyzanckiego Bończa, później 2. kompanii 25 p.p., który ukrywał się u nich przez kilka tygodni.

W 1946 r. Henryk i Maria pobrali się. Żyli z dochodów z drogerii, Maria zapisała się na studia w Akademii Handlowej w Poznaniu. W 1951 r. kiedy zabrano im sklep, została księgową w rozlewni piwa, następnie w Zjednoczeniu Przemysłu Terenowego i Motoryzacyjnego w Gnieźnie. Z czasem przenieśli się do Poznania. Na początku lat 70. aż do emerytury w 1981 r. pracowała w zakładach „Tarpán” w Poznaniu. Pod koniec lat 70. mąż ciężko zachorował.

- Nie mogłam uwierzyć, przecież był szalenie wysportowany; grał w koszykówkę, siatkówkę, tenisa, jeździł na nartach. Lekarz stwierdził, że odezwały się skutki tamtego pobicia na gestapo. Otrzymał rentę inwalidzką wojenną. Zmarł 18 maja 1979 r. Bardzo mi go brakuje...

W 1989 r. nastąpiła wolna Polska, o którą walczyli żołnierze Armii Krajowej. Zaraz też akowcy utworzyli Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Marii Krzyżańskiej nie mogło w nim zabraknąć.

- W poznańskiej siedzibie związku był już Felek Słomczyński z 25. pułku AK. Zaraz mnie „wrobili” w komisję weryfikacyjną. Nie byłam jeszcze przyjęta, a już byłam członkiem komisji. To była trudna rola, skompli-



Uroczystość oddania Pomnika Polskiego Państwa Podziemnego i AK w Poznaniu
Fot. Teresa Masłowska

rowane sprawy do sprawdzenia. Nie chcę o tym mówić.

Od 10 lat – z namaszczenia śp. prezesa Stefana Ignaszaka - jest wiceprezesem ŚZZAK Okręg „Wielkopolska”. Ludzie przychodzą do niej ze swoimi sprawami, proszą o pomoc. Czasem zżyma się, ale jeśli tylko może, pomaga. Jej pasją są tworzone przy szkołach Koła Przyjaciół Armii Krajowej.

- My odchodzimy po kolei na Wieczną Wartę - mówi. Teraz nasza nadzieja w tym, że o Polskim Państwie Podziemnym i o Armii Krajowej pamiętać będą przyszłe pokolenia. Cała nasza nadzieja w młodzięży.

TERESA MASŁOWSKA

*

Porucznik Maria Krzyżańska urodziła się 15 listopada 1924 r. w Gnieźnie. Ojciec Łucjan Mikołajczak z matką Marią z domu Jaroszevska prowadzili drogerie i hurtownię paliw i olei „Va-

kum Oil Company”. Ukończyła ekonomię na ówczesnej Akademii Handlowej w Poznaniu. Współautorka wielu książek. Na rozkaz podziwianej przez nią generał Zawackiej wyszukiwała dane do biografii do „Słownika Kobiet Odznaczonych VM”. Zebrała notki biograficzne o 500 kobietach do kartoteki Memoriału w Toruniu. Od lat walczy o upamiętnienie zasług Wielkopolanek, walczących w szeregach AK. Zgromadziła około 60 fotografii kobiet - żołnierzy, na podstawie których Agnieszka Łuczak i Aleksandra Pietrowicz napisały książkę „Dziewczyny z AK – Wielkopolanki”. Z odznaczeń ceni najbardziej Brązowy Krzyż Zasługi z mieczami, który dowódca Hilary Moraczewski „Morus” wręczył jej na ślubie. Otrzymała także Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki. Na wniosek gen. Zawackiej przyznano jej „Medal Pro Memoria”. (tm)

ŚWIATOWY ZWIĄZEK ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ OKRĘG WIELKOPOLSKA
61-713 Poznań, Al. Niepodległości 18 pokój 10/12
www.akwielkopolska.pl tel. 61 854 19 18

Apel

W 1995 r. mieszkająca w USA na Florydzie Maria Bnińska-Harrison przekazała nieodpłatnie Uniwersytetowi Adama Mickiewicza w Poznaniu zespół pałacowo-parkowy w Gułtowach. Dobra gułtowskie należały do rodziny Bnińskich z przerwami od XVIII wieku. Ich ostatnim przedwojennym właścicielem był jej ojciec hrabia Adolf Jan Rafał Bniński, wojewoda poznański w latach 1923-1928, długoletni prezes Wielkopolskiej Izby Rolniczej oraz Główny Delegat Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na ziemi wcielone do III Rzeszy w latach 1940-1941, zamordowany przez Niemców w 1942 r. W skład podarowanych nieruchomości wchodził pałac, dwie oficyny oraz park krajobrazowy. Zgodnie z wolą fundatorów część pałacowych pomieszczeń ma zostać przeznaczona na izbę pamięci rodziny Bnińskich oraz Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej z Wielkopolski, Śląska i Pomorza. W Gułtowach działa już izba pamięci rodziny Bnińskich, wśród eksponatów warto wspomnieć o dokumencie z nominacją Adolfa Bnińskiego na Głównego Delegata RP z podpisem generała Władysława Sikorskiego.

Wielkopolscy akowcy przystąpili do wypełnienia woli Marii Bnińskiej i tworzą teraz izbę pamięci Armii Krajowej.

Na początku roku delegacja Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręg „Wielkopolska” spotkała się w tej sprawie z kanclerzem UAM.

- W pałacu mamy już jedną salę, prawdopodobnie otrzymamy do dyspozycji także drugie pomieszczenie. Gułtowy są idealnym miejscem dla izby pamięci Armii Krajowej, ponieważ w najbliższych latach planowane jest tam zorganizowanie centrum spotkań młodzieży z krajów Unii Europejskiej. To ważne, żeby młodzi ludzie mogli poznawać losy AK i Polskiego Państwa Podziemnego. Teraz sprawą o pierwszorzędym znaczeniu dla powstania izby są eksponaty – wyjaśnia ppłk Jan Górski, prezes ŚŻŻAK Okręg „Wielkopolska”.

Akowcy rozpoczęli zbiórkę pamiątek i apelują do rodzin żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego, organizacji i instytucji o przekazywanie dokumentów, fotografii, odznaczeń, odznak, osobistych wspomnień i relacji oraz innych pamiątek. W Gułtowach znajdą one godne i należne miejsce, także – co ważne – będą udostępniane młodemu pokoleniu. Dary i depozyty są przyjmowane w Wielkopolskim Muzeum Walk Niepodległościowych w Poznaniu, Odwach, Stary Rynek 3, tel. +48 (61) 8517-289, mail: sekretariat@muzeumniepodleglosci.poznan.pl.

Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej – Okręg „Wielkopolska”



Uroczystość oddania pomnika PPP i AK w Poznaniu w 2007r.

Fot. Teresa Masłowska

Wspomnienia
kościańskiego
nauczyciela (1)

Pięć lat starszy od szkoły

Urodziłem się w Kościanie w 1955 r. Mama była sprzedawczynią. Pracowała w sklepach spożywczych, w których naturalną koleją rzeczy spędzałem sporo czasu. Do dzisiaj zostały mi w pamięci ówczesne ceny niektórych artykułów. Tata był telemonterem – zajmował się naprawami central i aparatów telefonicznych w zakładach pracy i prywatnych mieszkaniach. Do pracy jeździł i przemieszczał się pomiędzy siedzibami abonentów na rowerze. Najpierw była to przywieziona jeszcze przed wojną niemiecka Mifa, później – signum temporis – radziecka Ukraina. Po tacie odziedziczyłem więc chyba zamiłowanie do jazdy na rowerze.

Moje dzieciństwo przypadło na lata sześćdziesiąte i dane mi było spędzić je w gronie rówieśników (no, może prawie rówieśników). Mieszkaliśmy na ulicy Mickiewicza w domu po dziadkach. Na jej krótkim odcinku pomiędzy ulicami Sierakowskiego i Sienkiewicza w zaledwie pięciu domach mieszkała wtedy spora grupa chłopaków - patrząc od Sierakowskiego: Andrzej i Marian Skorczykowie, Wojtek Słabiak, Rychu i Roman Fornalikowie, Grzegorz, Iniu, Bogdan i Waldek Wróblowie, Andrzej i Grzegorz Ratajczakowie, Krzychu Włodarczak, Zdzichu i Lechu Szyszka. Prawda, że nieźle, a to tylko „zawartość” kilku domów. Miejscem naszych zabaw były podwórka i ulica, a także znajdujące się niedaleko targowisko, jak mówiliśmy, „plac”.

Gry i zabawy

Co robiliśmy? Na pewno w porównaniu z zajęciami dzisiejszych nastolat-

ków o wiele więcej się ruszaliśmy: zabawy w chowanego (mówiliśmy „w mrzyku”), gonita (to berek), podchody. Duże emocje wyzwała gra w siplą, na którą dosyć niechętnym okiem patrzyli rodzice, bo podbijanie dłuższym kijem zaostrzonego na obu końcach krótkiego kijka było faktycznie trochę niebezpieczne. Na placu graliśmy w różne odmiany „nożyka”, też nieco niebezpieczne. Na stalowych barierkach okalających plac wykonywaliśmy ewolucje akrobatyczne. Po latach, już pracując w szkole, zidentyfikowałem wśród nich np. wymyk i odmyk.

Oddzielną dziedziną naszej aktywności stanowiła gra w piłkę. Graliśmy właściwie wszędzie: na podwórku, chodniku a nawet, o zgrozo na jezdni. Najlepsze mecze rozgrywało się jednak na placu. Daleko mu było do dzisiejszych „Orlików”. Rosło tam trochę trawy i innego zielska, latem zaś piach był po kostki. Mimo tych dosyć spartańskich warunków plac tętnił życiem od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Mieliliśmy niezłe wzory – na placu grali np. bracia Andrzej i Józef Owiśniński z ul. Sierakowskiego, którzy zostali potem „prawdziwymi” piłkarzami. Największą karierę z nas zrobił Leszek Szyszka – w swoim czasie podpora „Obry”.

Granice boiska były umowne, a bramki wyznaczały szkolne teczki (jeśli grało się po wyjściu ze szkoły) lub po prostu kamienie. Piłki też były różne: od mniejszych „palantówek” – tymi grało się na podwórku i na chodniku przed domem, do większych, gumowych. Piłki skórzane – najpierw sznurowane rzemieniami - „popularne” trafiły do nas późno.

Oddzielnie trzeba powiedzieć o wyprawach do lasu bonikowskiego. Zaczynaliśmy od wypraw na grzyby pod opieką pani Wróblowej. Potem chodziliśmy już sami nie tylko na grzyby, ale także żeby się bawić.

W podstawówce

Do szkoły miałem blisko – niespełna 200 metrów. Jak trzeba było, to zdążyło się w czasie przerwy „skoczyć” po zapomniany zeszyt, przybory lub śniadanie. W tym czasie zabytkowy budynek przy ulicy Mickiewicza 12 był podzielony między dwie szkoły: naszą „jedynkę” i konkurencyjną „trójkę”. Śnieżnymi zimami (a takie były wtedy prawie zawsze) na granicy boisk trwały prawdziwe wojny na śnieżki.



Leszek Michalczak odbiera nagrodę statuetkę „Kościan Dziękuje” z rąk burmistrza miasta Michała Jurgi
Fot. Bogdan Ludowicz

Trafiłem do klasy Ib. Naszą wychowawczynią przez całe 8 lat (!) była pani Bogumiła Janicka. Spośród wszystkich przedmiotów, jak to chłopcy, najbardziej lubiliśmy wychowanie fizyczne. W tamtych czasach szkoła niestety nie miała sali gimnastycznej. Przez pewien czas korzystaliśmy z pomieszczenia przy szkole w Kiełczewie, które bez wielkiego szacunku nazywaliśmy „stodołą”. Jakościowa odmiana nastąpiła kiedy lekcje wf-u przeniesiono do hali na Łazienkach. Co prawda część czasu zajęć marnotrawiliśmy na wędrowki szkoła – hala – szkoła, ale Łazienki to już było coś.

Mimo dość trudnych warunków do ćwiczeń odnosiliśmy sporo sukcesów sportowych. Czasy były takie, że po zapowiedzi nauczyciela wf-u o wyjeździe na zawody do np. Starego Bojanowa czy Śmigła trudno było wieczorem zasnąć. Wyniki w nauce miałem dobre – na świadectwie ukończenia szkoły piątki (szóstek wtedy nie było) i tylko dwie czwórki: z plastyki i z... matematyki. Ten wielokropek dlatego, że później okazało się, że właśnie z matematyką związałem swoje dalsze życie.

Dalsza edukacja

Z wyborem następnej szkoły nie było problemu – wiadomo kościańskie liceum – wtedy jeszcze nie „Kolberg” (imię szkoła otrzymała podczas naszej nauki). Ponownie trafiłem do klasy „b” jako je-

den z 41 uczniów. Naszą wychowawczynią była przez całe 4 lata pani Barbara Mizerka. Zespół klasowy był chyba niezły, bo prawie w komplecie doszliśmy do matury i ją zdaliśmy, co wtedy wcale nie było regułą.

Po maturze okazało się, że mogę skorzystać z przyjęcia na studia bez egzaminu wstępnego pod warunkiem wybrania kierunku nauczycielskiego. Po zastanowieniu się zdecydowałem się na Uniwersytet Adama Mickiewicza, kierunek matematyka, specjalność nauczycielska. Żeby zostać studentem, należało odbyć tzw. praktyki robotnicze. Zostałem więc na miesiąc robotnikiem budowlanym. W Poznaniu na osiedlu Winogrody budowaliśmy kompleks: przedszkole oraz żłobek. Jeszcze niedawno oba budynki stały, co nie najgorzej świadczy o jakości naszej pracy.

Czas czteroletnich studiów minął szybko. Przez pierwsze dwa lata dojeżdżałem na zajęcia pociągiem, smak życia studenckiego trochę poznałem na trzecim i czwartym roku, kiedy zamieszkałem w akademiku. Dzisiaj myślę, że lepiej byłoby gdyby stało się odwrotnie. W czasie studiów chodziłem na treningi koszykówki prowadzone przez bardzo lubianego przez nas trenera „prawdziwego” AZS-u Poznań

▶ – pana Stanisława Szafarkiewicza. Wtedy także liżnąłem trochę turystyki kwalifikowanej – uczestniczyłem w dwutygodniowych spływach kajakowych po Drawie, Raduni i Redze (dwukrotnie). Pracę magisterską napisałem z logiki u pana docenta Tadeusza Batóga. Nosiła tytuł: „Intuicjonistyczny rachunek zdań w ujęciu Heytinga”. Nasz promotor miał także wykształcenie filologiczne i zwracał uwagę nie tylko na meritum, ale także na język pracy.

Pierwsza placówka

Po otrzymaniu dyplomu należało rozejrzeć się za jakąś pracą. W Wydziale Oświaty Urzędu Miejskiego w Kościanie dowiedziałem się, że wolnych etatów w kościańskich szkołach nie ma. Trzeba było próbować gdzie indziej. Wujek, który był nauczycielem w Rydzynie, przekazał mi informację o wolnym etacie w szkole w Lipnie koło Leszna. Pojechałem tam i po rozmowie z dyrektorem prawie się zdecydowałem. Po kilku dniach

dowiedziałem się jednak, że kościańska „czwórka” nie podlega miejskiemu Wydziałowi Oświaty i postanowiłem jeszcze tam spróbować.

W czasie rozmowy z Gminnym Dyrektorem Szkół panią Haliną Zajacową okazało się, że miejsce pracy jest i, co mnie bardzo ucieszyło, oprócz matematyki będę mógł prowadzić zajęcia wychowania fizycznego. Tak zostałem nauczycielem Zbiorczej Szkoły Gminnej w Kościanie. Uczylem matematyki i wf-u, w niektórych latach z przewagą tego ostatniego.

Dobrze wspominam ten okres: odnośiliśmy wiele sukcesów w zawodach międzyszkolnych, kilkakrotnie wygraliśmy rywalizację szkół podstawowych w województwie leszczyńskim. Byliśmy najlepsi w piłce nożnej, koszykówce, biegach przełajowych i klasycznych konkurencjach lekkoatletycznych. Reprezentacja ZSG Kościan składała się wtedy z uczniów wszystkich szkół gminy Kościan: Kielczewa, Bonikowa, Racotu, Starych Oborzysk, Turwi i oczywiście naszej „czwórki”. Do dzisiaj z tamtego okresu pozostała część wpisów na

tablicy lekkoatletycznych rekordów szkoły.

Do czwórki, oprócz uczniów z Kościana, uczęszczały w tamtym czasie dzieci z Nielegowa, Czarkowa, Naclawia, Kokorzyna, Szczodrowa i Kurzej Góry. Do naszej szkoły przyjeżdżały i odjeżdżały autobusami. W tym czasie lekcje u nas zaczynały się o godzinie 7.30 i trwały do późna, były lata, że nawet do 18.20. Z upływem czasu rozmiary dowożenia uczniów się zmniejszały. Najpierw, po wybudowaniu dzisiejszej „trójki”, odeszło Nielegowo, Czarkowo i Naclaw, potem Kokorzyn i Szczodrowo, na koniec, niedawno, Kurza Góra. (cdn)

LESZEK MICHALCZAK

*) Są to wspomnienia mgr. Leszka Michalczaka dyrektora Zespołu Szkół nr 4 w Kościanie, tegorocznego laureata nagrody – statuetki „Kościan Dziękuję”. Szkoła obchodzi 50-lecie istnienia. Uchwałą Rady Miasta Kościana otrzymała imię Mariana Koszewskiego. Tytuł i śródtytuły artykułu pochodzą od redakcji.

Rycerz z powołania

Maciej Koszutki z Poznania, I wiceprezydent Związku Polskich Kawalerów Maltańskich, jest lekarzem w 111 Szpitalu Wojskowym w Poznaniu oraz wolontariuszem w Specjalistycznej Przychodni Onkologicznej „Pomoc Maltańska”. Wkrótce na poznańskiej Malcie rycerze wybudują nowoczesną przychodnię.

Jest pan lekarzem, pomaga ludziom lecząc ich, dlaczego jeszcze wstąpił Pan do Zakonu Maltańskiego, który znany jest z troski chorych i słabych?

– Odpowiedź na to pytanie jest trudna. Zakon Maltański jest organizacją elitarną i zwykle postronni uważają, że powodem wstąpienia jest snobizm. Mnie samemu trudno jest orzec, na ile moje chęci zostania kawalerem maltańskim wynikały z „czystego” powołania. Faktem jest, że do zakonu zostałem przyjęty po prawie dwuletniej pracy jako lekarz - wolontariusz w Specjalistycznej Przychodni Onkologicznej „Pomoc Maltańska” przy Parafii św. Jana Jerozolimskiego za Murami w Poznaniu i nadal tam pracuję. Ten dylemat jest zauwa-

żalny w średniowiecznym tekście, który wygłaszano do kandydatów do zakonu: „Zacny przyjacielu, pragniesz wstąpić w szeregi braci zakonnych naszego Domu i masz do tego prawo,... lecz jeśli pragniesz tego z tej przyczyny, że widzisz nas dobrze odzianych, jeżdżących na potężnych rumakach i żyjących sobie wygodnie, jesteś w błędzie, ponieważ będziesz pragnął jeść, a będziesz musiał pościć, kiedy natomiast będziesz chciał pościć, będziesz musiał jeść, kiedy będziesz pragnął spać, będziesz miał obowiązek pełnienia warty, a kiedy będziesz chciał stanąć na warcie, będziesz musiał spać. Będziesz posyłany tu i tam, do miejsc, które nie będą ci odpowiadały i będziesz musiał tam jechać. Będziesz musiał porzucić wszelkie swoje pragnienia, by zaspokoić pra-

gnienia innych i znosić inne jeszcze trudy w Zakonie, większe niż można je tu opisać. Czy jesteś gotów ścierpieć to wszystko?”

Kiedy pana przyjęto do zakonu i co należy do pańskich obowiązków?

- Jak już wspominałem od 1993 r. pracuję jako lekarz – wolontariusz w Specjalistycznej Przychodni Onkologicznej „Pomoc Maltańska” przy Parafii św. Jana Jerozolimskiego za Murami w Poznaniu - pierwszej placówce medycznej Zakonu Maltańskiego w Polsce po 1949 r. Do Zakonu Maltańskiego zostałem przyjęty w 1995 r. W latach 1999–2007 byłem dyrektorem zarządu Fundacji Polskich Kawalerów Maltańskich „Pomoc Maltańska” w Poznaniu. A od 2007 r. jestem I wiceprezydentem Związku Polskich Kawalerów Maltańskich.

Kto może zostać kawalerem maltańskim?

- Damy i Kawalerowie Maltańscy, którzy mieszkają w kraju oraz na emigracji, lecz czujący się Polakami, są zrzeszeni w Związku Polskich Ka-

Walerów Maltańskich. W ostatnich latach liczba członków ZPKM oscyluje wokół 150. Siedziba zarządu mieści się w Warszawie, przy ulicy Jagarzewskiej 17. Damą lub Kawalerem Maltańskim może zostać osoba wyznania katolickiego, którą zarekomenduje czterech członków Zakonu Maltańskiego i zostanie pozytywnie zaopiniowana przez biskupa ordynariusza diecezji, w której mieszka. Nowo wstępujący uiszcza zwyczajową opłatę tzw. Diritti di pasaggio. Istnieje jeszcze kategoria Donatów, dla których wymaga się dwóch wprowadzających – nie starają się oni o przyjęcie sami, lecz są do zakonu „zapraszani”.

Kawalerowie maltańscy znani są głównie z niesienia pomocy medycznej, ale prowadzą także różne inne formy pomocy potrzebującym, jakie?

– Kawalerowie Maltańscy w Polsce, tak jak ich konfratry w innych krajach, prowadzą działalność medyczną i charytatywną. Swoje dzieła prowadzą z pomocą dwóch fundacji - Fundacji Polskich Kawalerów Maltańskich „Pomoc Maltańska” z siedzibą w Poznaniu oraz Fundacji Polskich Kawalerów Maltańskich „Pomoc Maltańska” w Warszawie. W Polsce Maltańczycy prowadzą Specjalistyczną Przychodnię Onkologiczną „Pomoc Maltańska” przy Parafii św. Jana Jerozolimskiego za Murami w Poznaniu, szpital p.w. Bł. Gerarda w Olsztynie, Maltańskie Centrum Pomocy Niepełnosprawnym Dzieciom i Ich Rodzinom w Krakowie, Niepubliczne Przedszkole Specjalne ZPKM w Krakowie, Środowiskowy Dom Samopomocy - Dom Pomocy Maltańskiej w Puszczykowie, Środowiskowy Dom Samopomocy w Klebarku Wielkim, Warsztaty Terapii Zajęciowej „Pomoc Maltańska” w Poznaniu, Dom Pomocy Społecznej Michała Archaniola w Szylaku (woj. warmińsko-mazurskie), Maltański Ośrodek Pomocy Środowiskowej dla Osób Niepełnosprawnych w Katowicach, Maltański Ośrodek Pomocy Społecznej i Medycznej w Radomiu, ośrodki realizujące program „Wsparcie osób niepełnosprawnych ruchowo na rynku pracy” w Olsztynie, Klebarku Wielkim koło Olsztyna, Poznaniu (2), Radomiu i Warszawie. Ponadto Maltańczycy organizują pielgrzymki osób niepełnosprawnych (coroczna pielgrzymka do Lourdes), obozy dla dzieci niepełnosprawnych, wigilie dla ubogich.

Jesteście także obecni na imprezach masowych, pomagacie ofiarom wojen.

– ZPKM zorganizował Misję Humanitarną i Medyczną w Gruzji podczas konfliktu gruzińsko-rosyjskiego w 2008 r. Osobnym stowarzyszeniem, lecz ściśle związanym z ZPKM jest Maltańska Służba Medyczna, której działalność polega na zabezpieczaniu przedmedycznym imprez masowych - pielgrzymek, uroczystości kościelnych, koncertów, zawodów sportowych itp. Maltańczycy swoją działalność finansują ze środków własnych, darowizn, dochodów z koncertów i balów charytatywnych, a także spożytkowują środki pozyskiwane z Narodowego Funduszu Zdrowia, Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych oraz od organizacji i instytucji samorządowych.

Poznański ośrodek onkologiczny



Dr n. med. Maciej Koszutski.

Fot. Teresa Masłowska

pomógł tysiącom osób chorych na raka, zakon planuje powstanie nowego ośrodka. Czy wiadomo, gdzie zostanie wybudowany?

– Specjalistyczna Przychodnia Onkologiczna „Pomoc Maltańska” przy parafii św. Jana Jerozolimskiego za Murami w Poznaniu działa od 1993 r. i prowadzi diagnostykę w kierunku chorób nowotworowych piersi u kobiet. Rocznie przyjmuje ponad 5 tys. pacjentek. Obecnie działa w zaadaptowanych pomieszczeniach parafial-

nych. Planujemy budowę nowoczesnego budynku przychodni, który stanie na działce ofiarowanej nam przez JE Arcybiskupa Poznańskiego Stanisława Gądeckiego. Działka ta znajduje się na terenie parafii św. Jana Jerozolimskiego za Murami w Poznaniu. Prace budowlane zamierzamy rozpocząć niebawem. Na razie jest to główny priorytet w aktualnej działalności ZPKM, który ponadto wspiera finansowo ludność krajów poszkodowanych przez liczne w ostatnich latach kataklizmy - Haiti, Chile.

TERESA MASŁOWSKA

*
Maciej Koszutski urodził się 13 kwietnia 1952 r. w Wągrowcu. Ukończył Akademię Medyczną w Poznaniu.

Uzyskał tytuł naukowy doktora nauk medycznych i specjalizację z chirurgii. Od 1977 r. pracuje w 111 Szpitalu Wojskowym w Poznaniu. Do Zakonu Maltańskiego przyjęty w 1995 r. W latach 1999 – 2007 dyrektor zarządu Fundacji Polskich Kawalerów Maltańskich „Pomoc Maltańska” w Poznaniu. Od 2007 r. I wiceprezydent Związku Polskich Kawalerów Maltańskich. Żonaty. Żona Barbara jest inżynierem. Ma trzy dorosłe i zamężne córki oraz dwóch wnuków.



Maciej Morawski przed kościańskim mauzoleum

Fot. Teresa Mastłowska

Dzienniki Macieja Morawskiego (III)

„Odchodzą ostatni Mohikanie”

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ostatnio tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy drugi odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2010 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl

20 marca

Dziś w Laskach, w słynnym Zakładzie dla Niewidomych, uroczysty pogrzeb Jana Sawy. W dziennikach sporo już pisałem o tym moim kuzynie i bliskim przyjacielu. Z kolei mocno podkreślę, iż Jan, człowiek o wielkim rozsądku i dużej energii, był świetnym działaczem samorządowym, m.in. zastępcą wójta gminy Izabelin.

23 marca

Pewna dama-psycholog, którą wysoko cenię mawia mi: „Pamiętaj,

że obrażają się tylko osoby nieopanowane, które nie umieją się kontrolować”. Nigdy więc się nie obrażam. Nie wdaję się też w potępieńcze spory. Staram się rozładowywać konflikty, godzić rodaków. Niestety, nie bardzo umiem to robić - wyniki słabe. Moja skłonność do rozładowywania sporów nie oznacza, że wszystko akceptuję. W razie potrzeby potrafię zająć twarde stanowisko, ale zawsze robię to uprzejmie i spokojnie. Cieszę się również, gdy padają pod moim adresem kalumnie i obelgi. Zmusza mnie to do reflek-

sji nad sobą, uświadamiają, że zapewne kogoś uraziłem.

Wczoraj w nocy zmarł w Maisons-Laffitte Henryk Giedroyc, urodzony 88 lat temu, 12 stycznia 1922 r. w Warszawie, dyrektor słynnego Instytutu Literackiego. Pan Henryk pracował, pod kierownictwem swego dużo starszego brata Jerzego Giedroycia, w wydającym „Kulturę”, także „Zeszyty Historyczne” oraz wiele książek, tymże Instytucie od 1952 r. W 2003 r. po śmierci Zofii Hertz został jego szefem.

Henryk Giedroyc, od 68 lat mój dobry znajomy i przyjaciel, był człowiekiem o dużej inteligencji. Dobrze o tym wiedział np. Józef Czapski. Jednak żył w cieniu swego wielkiego brata, niezwykle skromny, nie lubił wypowiadać się w większym gronie. Te cechy powodowały, że nawet w kręgu dość bliskich przyjaciół „Kultury” czasem nie zdawało sobie do końca sprawy z jego bystrego spojrzenia na ludzi i fakty... Był człowiekiem o wielkiej dobroci i szlachetności... Od dość dawna chorował. Z wielką ofiarnością leczył go jego bliski przyjaciel, dr med. Zbigniew Janowski... Dodam jeszcze, że Pan Henryk bardzo dbał o Instytut Literacki w Maisons-Laffitte, o jego bezcenne zbiory, zabiegał o to, by ta instytucja nie tylko nadal działała, ale rozwijała się, służyła polskim badaczom-naukowcom...

24 marca

Ostatni raz Henryka Giedroycia widziałem w styczniu tego roku. Byłem w szpitalu w Maisons-Laffitte, tym samym, w którym kolejno zmarli Jerzy Giedroyc i Zofia Hertz. Ja dojechałem tam do zdrowia po ciężkiej operacji serca. Pan Henryk zechciał pozwolić mi przyjść na lunch do domu „Kultury” (już wtedy miałem się lepiej). W sali jadalnej było kilka osób. Na przydzielonym miejscu Pan Henryk, dalej Renata Głowacka, Wojtek Sikora, Leszek Czarniecki i Andrzej Bernhardt i pan Armando... Świętny obiad przygotowała pani Krystyna. Pan Henryk bardzo serdecznie mnie powitał, ale mało mówił, wyglądał na bardzo zmęczonego. Ostatni raz rozmawiałem z nim nieco dłużej w czasie wizyty kilka lat temu w Maisons-Laffitte Marka Żebrowskiego, który pisze biografię pana Jerzego. Dałem Markowi nieco mych skromnych notatek o Panu Jerzym i chciałem je omówić z Panem Henrykiem. Gdy idzie o Pana Jerzego, pamiętam go jeszcze z bardzo dawnych lat, gdy był w Poznaniu i Rogalinie. Jak przez mgłę przypominam sobie, że będąc dzieckiem, kiedyś idąc z mym Ojcem, spotkaliśmy, chyba na dworcu w Poznaniu (?) Pana Jerzego i Rogera Raczyńskiego. Później, po roku 1948, w Paryżu widywałem Jerzego Giedroycia dosyć często.

Doniesiono mi, że Aleksander Świewkowski z RWE określił mnie w swym blogu, jako wroga Najdera, uczestnika

antynajderowskich intryg. Zaraz doń zadzwoniłem. Powiedziałem mu, że będąc w Paryżu, niewiele wiedziałem o monachijskich rozgrywkach. Miałem z reguły dobre stosunki ze wszystkimi dyrektorami rozgłośni polskiej, choć w pierwszym rządzie uważałem się za człowieka Jana Nowaka. Z Najderem współpraca układała mi się bardzo poprawnie. Ceniłem jego publicystykę. Podkreśliłem jednak, że byłem jakby na innej wyspie, daleko od Monachium. Miałem też na miejscu znakomych amerykańskich kierowników.

Co do polskich, potępięńczych sporów, to nie rozumiem jak nasi łączą je często z bardzo afiszowanym katolicyzmem, religią miłości bliźniego i przebaczenia? Jan Nowak, parokrotnie w rozmowach ze mną nawiązywał do tekstów Ewangelii. Mówił o prawie do nawrócenia się, do wypowiadania się ze swych grzechów i uzyskania przebaczenia.

26 marca

Ostatnio jako polskie „narodowe sanktuaria we Francji” wymieniłem Mickiewiczowską „Bibliotekę Polską” na Wyspie Świętego Ludwika, bogatą pamiątkami po Fryderyku Chopinie, Adamie Mickiewiczu i innych światowej sławy Polakach oraz „Instytut Literacki Kultury” w Maisons-Laffitte. Czuję się zobowiązany podkreślić, że są tu jeszcze inne „polskie sanktuaria”. Na przykład, bogaty dziełami sztuki i polskimi pamiątkami, unikalny rezerwat staropolskich tradycji, Zamek w Montrésorze oraz rzecz jasna słynny „Polski Dom Spokojnej Starości”, obecnie „Polsko-Europejski Dom dla Seniorów” w Lailly-en-Val, w dolinie Loary! Ośrodek ten był swego czasu „twierdzą i schronieniem niezłomnych polskich emigrantów” wielu wojskowych, żołnierzy AK, generałów jak np. Jan Kruszewski, przez lat 10 dowódca KOP, bohaterki obrońca Helu admirał Józef Unrug, także działaczy i dziennikarzy takich jak redaktor „Syreny” Stanisław Paczyński, jak Tadeusz Parczewski, wielu dyplomatów, jak przez 25 lat Ambasador Wolnych Polaków w Paryżu Kajetan Morawski... Także wielu uchodźców z krajów tzw. demokracji ludowych. Długie okresy w tym Domu spędzał Józef Czapski z siostrą Marią. O kilkanaście kilometrów od tego ośrodka jest pochowany Kot Jeleński. Dom regularnie odwiedzało

wiele czołowych postaci polskiej emigracji np. Prezydent RP Edward Raczyński. Każdy kąt domu wieje wspomnieniami o tych ludziach. Archiwum dyrektora zawiera dotyczące ich dokumenty itd. Domem żywo interesował się Jerzy Giedroyc, który wspomagał finansowo „warsztaty artystyczne imienia Józefa Czapskiego”. Obecnie pod protektoratem Parlamentu Europejskiego Dom, ponieważ nie ma już polskich uchodźców politycznych, stał się ważnym wkładem Polski i Francji w budowę Unii, staje się czołowym centrum ogólnie unijnej opieki nad seniorami.

27 marca

Dziś byłem na pogrzebie Henryka Giedroycia. W przyziemnym lokalu widziałem jego zwłoki, leżące w trumnie, jego spokojny wyraz twarzy. Później msza żałobna w kościele w Le Mesnil-le-Roi. Za kilka dni ciało zostanie spopielone. Połowa prochów trafi do rodzinnego grobowca Pana Jerzego. Na pogrzeb przyjechało wiele osób: ambasador RP we Francji Tomasz Orłowski, ambasador Jan Tombiński z żoną (obecnie przedstawiciel RP przy Wspólnocie Europejskiej), konsul generalny Mikołaj Kwiatkowski z żoną, która swego czasu przez 19 lat pracowała w zespole Jerzego Giedroycia. Przybyło z Warszawy wielu dygnitarzy - jeden z wice ministrów kultury, dyrektor Biblioteki Narodowej i inni. Także moi warszawscy przyjaciele - Andrzej Mietkowski i Marek Żebrowski. Obaj ludzie wybitni i bliscy „Kulturze”. Wielu tutejszych luminarzy - Ewa Bieńkowska, Julia Juryś, Wojtek Karpiński, Aleksander Smolar ze swą dystyngowaną żoną, także polscy inteligenci i naukowcy z Anglii, Belgii, Szwajcarii i z bretońskiego miasta Rennes. Mszę żałobną - zgodnie z wolą zmarłego - po łacinie odprawił ks. Marian Faleńczyk, wielce ceniony Palloty. Był tam też rzecz jasna również cały obecny zespół Instytutu Literackiego.

28 marca

Ludzie stawiają mi dziwne pytania. Ktoś mnie zapytał, czemu podaję się za byłego korespondenta [!] „Kultury”. Zaprzeczyłem, natomiast prawdą jest, iż po-

► siadam legitymację prasową, wystawioną mi 25 lipca 1964 r. przez Jerzego Giedroycia. Wykonałem dla niego wówczas długi reportaż o Polonii w Lille. Mowa była też o dalszych reportażach, ale były to tylko luźne pomysły. W 1965 r. stałem się etatowym pracownikiem RWE, to utrudniało stałą współpracę z „Kulturą”.

Dziś wcześniej rano, Marek Szypułski, dyrektor europejsko-polskiego domu spokojnej starości w Lailly-en-Val, zadzwonił do mnie ze smutną wiadomością, że tej nocy zmarła słynna pisarka Zofia Romanowicz (kilkanaście poczytnych powieści, były żołnierz AK, więźniarka niemieckich obozów koncentracyjnych). Zaraz po wojnie zamieszkała w Paryżu. Wyszła za mąż za Kazimierza Romanowicza (nadal żyje w Lailly). Kazimierz Romanowicz jest bohaterem bitwy pod Monte Cassino (VM), a później był właścicielem polskiej księgarni „Libella” (Paryż, Wyspa św. Ludwika) oraz prowadzonej obok, z pomocą Kota Jeleńskiego, malarskiej galerii „Lambert”. Kazimierz i Zofia Romanowiczowie, w latach emigracji politycznej, zawsze podkreślali, że ich prawdziwą polską ambasadą jest mieszkanie mojego Ojca (ambasadora wolnych Polaków) na 174, rue de l’Universite. Zofia Romanowicz urodziła się w 1922 r. w Radomiu. Za mych czasów była czołową postacią polskiego Paryża. Miała też wiele znajomości i mocną pozycję we francuskich kręgach intelektualnych. Jej śmierć, w kilka dni po zgonie Henryka Giedroycia, to widomy znak, że odchodzą „ostatni Mohikanie” emigracyjnej walki lat 50., 60. i 70. Dodam, że w Lailly Państwa Romanowicz odwiedzali pisarze i dziennikarze polscy i innych narodowości. Była u niej też w czasie swej wizyty w Lailly, prezydentowa Maria Kaczyńska wraz z dyr. Izabellą Tomaszewską. Gdy p. Prezydentowa doszła do pokoju p. Zofii, ta właśnie rozmawiała przez telefon. Powiedziała: „Niech prezydentowa poczeka, rozmawiam z mą córką z USA”. Maria Kaczyńska życzliwie podeszła do tej prośby - poczekała, mówiąc: naturalnie, rozmowa z córką najważniejsza.

Wybr. i oprac.

TERESA MASŁOWSKA

Wstydliva sprawa bezpieczeństwa

2 maja tego roku upłynęło 58 lat od momentu zastrzelenia dwóch funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej w lesie pod Kopaszewem. Choć cała sprawa jest znana opinii publicznej, bo milicjantów oficjalnie zaliczono do ofiar „walki o utrwalanie władzy ludowej” w Polsce, to jednak niektóre fakty związane z tym zdarzeniem w PRL nie zostały ujawnione.

Notatki z wrogiej działalności

Władze polityczne oraz bezpieczeństwa, każdorazowo przed ważnymi rocznicami i świętami państwowymi przygotowywały plan „zabezpieczenia”, który pozwalał UB na bieżąco kontrolować nastroje społeczeństwa i zapobiegać antykomunistycznej propagandzie. Na okoliczność propagandowych uroczystości 1 maja 1952 r. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Kościanie przygotował stosowny plan.

W ramach zaplanowanych zadań, w znaczeni funkcjonariusze PUBP i Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej (KPMO) w Kościanie, w godzinach wieczornych zbierali z gminnych posterunków milicji raporty o przebiegu wieców i manifestacji. Zastępca szefa PUBP w Kościanie chorąży Edmund Budzowski, kierowca UB Eliaz Mirończuk, milicjant KPMO w Kościanie starszy sierżant Alfons Łukaszewski oraz przybyły z Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu starszy sierżant Bogdan Ratajczak, 1 maja 1952 r. po godz. 20-ej wyruszyli z Kościana na posterunek MO w Kamieńcu. Następnie wizytowali jednostki MO w Wielichowie, Śmiglu, Starym Bojanowie, by przed północą dotrzeć do Krzywini. Tam służbowo przebywał tzw. referent gminny UB Tadeusz Laskowski, który zrelacjonował Budzowskiemu mijający dzień.

Ubey wizytując poszczególne posterunki otrzymali od funkcjonariuszy UB i MO m.in. raport rezydenta „bezpieki” o ps. „Lew”, notatki służbowe ze spotkań z informatorami „Kaziu”, „Kowalski” i „Pan Tadeusz”. Ponadto zapoznali się z notatką służbową na temat proboszcza z Kamieńca, który namawiał dzieci do wyrywania kartek z książki „nauka o człowieku”, które zawierały informacje niezgodne z nauką Kościoła, odebrali pismo na temat wro-

giej działalności proboszcza w Łękach Wielkich, a także instrukcję UB w sprawie przedsięwzięć „bezpieki” na dzień 3 maja. Strzały na skraju lasu

W tym miejscu należy zadać sobie pytanie czy Budzowski i jego kolegów interesowała akcja poszukiwawcza prowadzona wobec trzech dezertersów z Wojska Polskiego? Zachowana dokumentacja archiwalna nie daje jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. 24 kwietnia 1952 r. z jednostki nr 2645 stacjonującej w Krośnie Odrzańskim zdezerterowali Benedykt Cisowski z Sopotu – lat 24, Stefan Nagłowski z Jeleniej Góry – lat 24 i Franciszek Szczepański z Gdańska – lat 22. Zabrali ze sobą trzy sztuki broni i 84 naboje.

Już 27 kwietnia KPMO w Kościanie powiadomiła podległe posterunki milicji, że na terenie powiatu kościańskiego zauważono trzech dezertersów WP. Przez kilka dni przebywali głównie na terenie gminy Krzywini przez nikogo nie niepokojeni. Dopiero 29 kwietnia, przez 24 godziny, lasy na terenie powiatu leszczyńskiego oraz gminy Krzywini przeczesywał pluton operacyjny Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW). O sprawie wiedzieli zarówno miejscowi milicjanci jak i UB. Po nieudanej akcji poszukiwawczej żołnierze KBW przez cały dzień 1 maja odpoczywali na posterunku MO w Krzywiniu.

Nocą, po blisko dwugodzinnym pobycie, Budzowski wraz z kolegami opuścił posterunek MO w Krzywiniu. Jadąc samochodem w kierunku Kościana przy skrzyżowaniu dróg w Kopaszewie, zostali zatrzymani przez człowieka w mundurze wojskowym. Później okazało się, że był to Cisowski. Napastnik podszedł bliżej samochodu i wycelował karabin w Budzowskiego, a z ukrycia wyszli Szczepański i Nagłowski. Zatrzymanym nakazano

wysiąść z samochodu i po rozbrojeniu poprowadzono ich w głąb lasu. Przy ścieżce na skraju lasu i pola ze zbożem padł pierwszy strzał. Wtedy Budzowski wskoczył w zboże i zaczął uciekać.

Padły kolejne strzały. Po kilku minutach napastnicy zawrócili samochód i odjechali w kierunku Jerki. Po przyjeździe na miejsce zdarzenia funkcjonariuszy MO i UB z szefem PUBP w Kościanie podporucznikiem Pawłem Góreckim okazało się, że zastrzeleni zostali Alfons Łukaszewski i Bogdan Ratajczak, a szofer Mirończuk odniósł ciężką ranę głowy.

Degradacja „ubeka”

Na miejsce zdarzenia jeszcze w nocy przyjechał pełniący obowiązki szefa WUBP w Poznaniu mjr Jan Górecki, który wracając nad ranem do Poznania zabrał ze sobą Edmunda Budzowskiego, gdyż jego postawa budziła szereg wątpliwości przełożonych. Budzowskiego przejął wydział wewnętrzny UB i po ponad miesiącu, w stosownym raporcie stwierdzono, że „jako najstarszy stopniem i stanowiskiem nie wydał żadnych rozkazów w kierunku odparcia zasadzki urzędzonej na nich przez dezertarów, a po zatrzymaniu auta [przez Mirończuka] mając przekonanie, że wpadł w zasadzkę, nie wyczerpał stojących do jego dyspozycji środków ochrony, a posiadaną w tym czasie broń służbową w rękę – pistolet „walter” – odrzucił w auto poddając się czym spowodował złożenie broni przez funkcj. M.O. [...] postawą swą wobec wroga wykazał tchórzostwo, a czyn jego mający poważne następstwa nie licuje z postawą funkcj. Org[anów] B[ezpieczeństwa] P[ublicznego]”.

Wobec miażdżącej analizy przebiegu zdarzenia Budzowski został zwolniony z resortu a dokumentacja sprawy została przekazana organom ścigania. Wojskowy Sąd Rejonowy w Poznaniu, na sesji w dniu 17 października 1952 r. skazał oskarżonego Budzowskiego na 4 lata więzienia i degradację do stopnia szeregowego. Natomiast już w marcu 1953 r. na mocy amnestii karę złagodzone do 2 lat i 8 miesięcy.

Cała sprawa była wstydliva dla ówczesnych władz i losy Budzowskiego nie były znane opinii publicznej. Wręcz przeciwnie, nawet Mirończuk unikał jakichkolwiek kontaktów z rodziną Łukaszewskiego. To z kolei budziło przez lata szereg pytań, szczególnie w kontekście służbowego życiorysu Łukaszewskiego.



W archiwum poznańskiego oddziału IPN

Fot. Jan Kołodziejski (IPN)

Alfons Łukaszewski wstąpił w szeregi MO już w lutym 1945 r., jak wielu jego kolegów wziął broń do ręki i po wyjściu Niemców spełniał się w roli porządkowego. Jednak wielu pierwszych funkcjonariuszy MO po kilku miesiącach porzuciło mundury, a innych wyrzucono. Łukaszewski jednak służył dalej. W grudniu 1945 r. został zastępcą Komendanta Posterunku MO w Śmigłiu. Na przełomie 1947/48 r. przebywał w szkole milicyjnej, którą ukończył z wynikiem celującym, lecz w charakterystyce służbowej przełożeni napisali, że „wyrzcił się do kolegów że nie ma zaufania do czerwonej szmaty”. Jednak ta sprawa pozostała bez konsekwencji.

Następnie pracował na posterunku powiatowym MO, gdzie pełnił obowiązki komendanta. W 1950 r., po ochrzczeniu nowonarodzonego dziecka, został na sześć tygodni aresztowany pod pretekstem współpracy z Niemcami. Zwolniono go z więzienia, bo zmyślonych zarzutów nie potrafiono udowodnić. Po całym zdarzeniu Łukaszewski nosił się z zamiarem odejścia z milicji, o czym wiedziała jego rodzina, a także przełożeni. Wcześniejszy epizod z aresztowaniem Łukaszewskiego, „cudowne” ocalenie i niezna- ne okoliczności skazania Budzowskiego, o których nikt spoza „bezpieki” nie wiedział, spotęgowały jeszcze plotkę o zemście UB na chcącym odejść z resortu Łukaszewskim.

Dopiero po latach możemy powiedzieć, że plotka ta nie znajduje potwierdzenia w dokumentach. Alfons Łukaszewski i Bogdan Ratajczak zostali zastrzeleni rzeczywiście przez dezertarów z WP, którzy przez około tydzień przebywali na terenie powiatu kościańskiego.

W potrzasku

Dalsze losy uciekinierów, którzy poruszali się skradzionym samochodem z przejętą bronią oraz dokumentami, również pozostały znane tylko pracownikom aparatu bezpieczeństwa. Napastnicy 2 maja przebywali na terenie powiatu kolskiego. Odpoczywając na jednej z leśnych dróg natknęli się na dwóch funkcjonariuszy UB, którzy jechali samochodem służbowym do pobliskiej leśniczówki. Najpierw doszło między nimi do przyjaznej rozmowy, a później UB-ecy mimo że zostali rozbrojeni, rzucili się do walki wręcz. Otrzymali rany postrzałowe, a dezertarzy uciekali dalej ich samochodem służbowym. W drodze mieli wypadek, z którego uszli cało. Nagowski i Szczepański zabrali przypadkowo spotkanym osobom rowery i nimi odjechali, a Cisowski przez 8 dni przebywał u gospodarza Tadeusza Kołodziejskiego. W czasie pobytu w gospodarstwie przypadkowej osoby, powiedział jej o wszystkich swoich wyczynach, pokazał zatrzymane dokumenty UB i MO z powiatu kościańskiego. Opuszczając gospodarza zostawił mu notatkę „bezpieki” na temat „wrogiej działalności” duchownego z Kamieńca, z prośbą, aby Kołodziejski dostarczył ją swojemu proboszczowi. Ten jednak nakazał Kołodziejskiemu dostarczenie pisma do UB, co też uczynił.

Dezertery rozdzielili się i ukrywali się jeszcze przez następnie tygodnie. Ostatecznie dwóch zginęło podczas wymiany ognia, broniąc się przed aresztowaniem, a trzeci – prawdopodobnie Cisowski – został zatrzymany przez bezpiekę.

RAFAL KOŚCIAŃSKI

Włodarze ze Śmigła

Bronisław Maron i Władysław Pioch byli przedwojennymi burmistrzami Śmigła. Obaj zginęli z ręki niemieckiego okupanta. Ich życiorysy są częścią opracowania, które przygotowuje znany regionalista Hubert Zbierski ze Śmigła.

Bronisław Maron urodził się 2 kwietnia 1888 r. w Koślinku w powiecie tucholskim. Ojciec Franciszek był pracownikiem sądowym, matka Joanna z domu Lipska. Przyszły burmistrz ukończył Szkołę ludową w Tucholi. Nie miał średniego wykształcenia, ale był samoukiem i posiadał rozległą wiedzę, był uzdolniony muzycznie – grał na kilku instrumentach. Należał do miejscowego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Zmobilizowany do armii pruskiej walczył w I wojnie światowej. W 1918 r. był członkiem Rady Robotniczo-Żołnierskiej w Krobi. Wziął udział w powstaniu wielkopolskim, walcząc na froncie południowym. Nie wiadomo, kiedy przybył do Śmigła. Był pracownikiem Wydziału Powiatowego, zajmował stanowisko naczelnika Urzędu Policyjnego. Odnotowano jego podpis z listopada 1922 r., ale już 8 października 1920 r. swym podpisem sygnował „Magistrat”, 22 sierpnia 1923 r. pisał „burmistrz”.

Z początkiem 1923 r., na kilka miesięcy, został burmistrzem Śmigła. Był też przewodniczącym spółki łowieckiej. Od 6 października 1923 r. pełnił funkcję burmistrza Chodzieży. Z miastem tym związał pozostałą część życia. W 1936 r. przeszedł na emeryturę. We wrześniu 1939 r. zorganizował w mieście administrację

zastępczą oraz straż obywatelską. Na początku 1942 r. został zaprzysiężony jako żołnierz Armii Krajowej. W sierpniu 1944 r. Marona aresztowano i osadzono w więzieniu w Chodzieży. Parę



Bronisław Maron.

Fot. ze zbiorów autora

dni później przeniesiono do obozu karno-śledczego w Żabikowie. Tam był więziony w klatce z drutu kolczastego. Stał w niej godzinami bez względu na pogodę. Wskutek nieludzkiego traktowania i doznanych obrażeń, zmarł 23 sierpnia 1944 r. Był żonaty z Leokadią, miał dwoje dzieci: Gertrudę i Edmunda.

Władysław Pioch urodził się 10 września 1889 r. w Dusznikach w powiecie szamotulskim z ojca Stanisława i matki Zofii z domu Kracoszyk. W 1903 r. wstąpił do służby w admi-

nistracji pruskiej, pracował kolejno w Opalenicy, Stęszewie, Kuślinie i Śmiglu, do którego przybył pod koniec wojny w grudniu 1918 r. Pioch walczył w powstaniu wielkopolskim, udzielając się głównie w organizowaniu polskiej administracji państwowej. Po przejęciu władzy przez Polaków, na początku 1919 r., mianowany przez wojewodę poznańskiego komisarzem obwodowym (komisarz pełnił funkcję wójta). Stał na czele dwóch komisariatów, które spolszczył i w których przeprowadził wybory polskich sołtysów i ławników. Do końca września 1923 r. był urzędnikiem Starostwa Powiatowego w Śmiglu; 6 października 1923 r. mianowano go burmistrzem Śmigła. Urząd ten piastował do wybuchu wojny. Przez cały czas pobytu w Śmiglu brał aktywny udział w życiu publicznym.

Prezesował wielu organizacjom, inicjował wiele przedsięwzięć. W październiku 1920 r. zawarł związek małżeński z Martyną Chudzińską, mieszkanką Czempinia. Był ojcem pięciorga dzieci. 23 października 1939 r. został publicznie rozstrzelany na rynku w Śmiglu.

HUBERT ZBIERSKI

W oparach drukarskiej farby (1)

Wybitny artysta plastyk, fotograf i rysownik Józef Skoracki urodził się 1 stycznia 1920 r. w Lesznie, zmarł zaś 6 stycznia 2005r. w Poznaniu, urnę z jego prochami pochowano na cmentarzu górczyńskim. Pozostawił po sobie wiele zdjęć i grafik, a także rękopis wspomnień, który zdeponował w archiwum prywatnym red. Jerzego Zielonki. Tekst ten stanowi fragmenty kościańskich wspomnień tego cenionego artysty.

„Ucieczka” do Kościana

W okolicy maja 1942 r. otrzymałem „zaproszenie” na stawienie się w siedzibie Gestapo w Lesznie w pokoju X. Był to obszerny lokal oduliczny na pierwszym piętrze. Dwóch młodych cywilów proponowało mi zapisanie się do Volkslisty, a trzeci protokołował rozmowę. Byłem tak spięty, że zupełnie zapomniałem, jakie były moje argumenty odmowy, a te notatki gestapowca się zachowały i po wojnie ktoś mi doniósł, że urzędnicy bezpieki je czytali i byli ponoć bardzo usatysfakcjonowani moją reakcją. Wiem, że Gestapo wysłało w tej sprawie jakiś list do miejscowego starostwa, ale nie otrzymało odpowiedzi, bo wycofała ją pracująca tam młoda urzędniczka, panna Cecylia Blahuszek, dobra nasza przedwojenna znajoma i sąsiadka z ul. Kościańskiej 48. Sprawa przycichła, ale ja, dla większej pewności wolałem się z mojego rodzinnego miasteczka wynieść.

Zebrałem więc część moich prac i pewnej niedzieli pojechałem do Kościana, pokazałem je panu Ernstowi Schirmerowi i powiedziałem, że bardzo chciałbym w jego zakładach graficznych pracować. Mojemu nowemu szefowi strasznie się moja propozycja spodobała i po krótkim czasie siedziałem już w mojej kościańskiej pracowni. Zarówno Schirmer, jak i jego żona pochodzili ze Śmigła lub z tego powiatu. Przed wojną prowadził gdzieś w Saksonii małą drukarnię, i po niej szybko wrócił do stron rodzinnych, a przywiózł ze sobą tylko jedną automatyczną małoformatową (do A3) maszynę drukarską. W Kościanie natomiast przejął zakład niewspółmiernie większy B. Stefanowicza, w którym stałe pracowało 60-70 pracowników, a w sezonie nawet 110.

O Stefanowiczu

Opiszę teraz tę szczególną drukarnię i jego kierownika. Bernard Stefanowicz urodził się w roku 1910, kończył w Lesznie średnią Szkołę Przemysłowo-Handlową i odbył praktykę w oficynie Jana W. Kuglina w Poznaniu. Uczył się prywatnie języka angielskiego, u swego ojca Hieronima - doskonalił niemiecki. Przez dwa lata uczęszczał w Lipsku do Meisterschule für Graphische Künste, a w Berlitzschool na wyższy kurs języka angielskiego. Odbywał praktyki w przodujących przedsiębiorstwach, m.in. w Dreźnie u Schelter&Giesecke oraz Fürstenstein&Müller. Odbył również trzymiesięczny staż w dwóch największych w Europie fabrykach kalendary F. Aschelm i papeterii M. Krause w Berlinie. Nabył teren i wybudował zakład i wyposażył go w najnowocześniejsze urządzenia. Sprowadził szybokobieżną maszynę drukarską z automatycznym nakładaczem prasy do wysokiego tłoczenia plakatów reklamowych, najnowszy typ gilotyny do cięcia papieru z precyzyjnym nastawiaczem dokładności oraz inne maszyny i urządzenia pomocnicze drukarskie i introligatorskie. Nawiązał bezpośrednie kontakty z fabryką papieru i tektury Franaszek w Warszawie oraz największym w Europie producentem folii aluminiowej Aluminium-Walzwerke Singen-Hohentwiel. Zatrudnił artystów-grafików m.in. W. Boratyńskiego i E. Fellmanna z Poznania. Próbował przyswoić sobie w Niemczech technologię głębokiego tłoczenia plakatów reklamowych, lecz na granicy skonfiskowano mu specjalistyczną literaturę. Za drugim wyjazdem wynajął pokój z oknem naprzeciw takiego zakładu i cierpliwie przy pomocy lornetki obserwował sposoby produkcji.

Kiedy już wszystko przygotował, rozpoczął z rozmachem, jedyny w kraju wytwarzanie tej oryginalnej, dotąd nieznannej produkcji. Pamiętam jak po-

dziwiałem te urzekające swym pięknem, rzucające się w oczy wspaniałe głęboko tłoczone reklamy. Na wszystkich dworcach, w restauracjach, kawiarniach, sklepach zawisły nagle rozliczne plakaty propagujące skutecznie polskie browary, fabryki likierów, wódek i soków owocowych, śląskie hutnictwo, zrzeszenia węglowe, fabryki kosmetyków i przemysł farmaceutyczny. Jednak już po kilku latach wybuch wojny zakończył tę niezwykle udaną działalność, a jego twórca, pan Bernard, wyjechał do Brazylii, wpierw do Kurytyby, a potem przez dwadzieścia lat mieszkał w Rio de Janeiro.

W mojej pracowni

W zniemczonej kościańskiej drukarni otrzymałem zupełnie przyzwolitą pracownię, której wschodnia ściana była cała przeszklona, a południowe wejście wychodziło na stanowisko introligatorskie, które prowadziła pani Basia Achmańska ze swoim bratem. W tym wejściu nie było drzwi, ale to mi zupełnie nie przeszkadzało. W moim pokoju stałem przy oknie długi stół, dwa krzesła, dwie oszklone szafki i zaraz dokupiłem sztalugę. Były tam jeszcze jakieś zbędne urządzenia po panu Stefanowiczu, z których ceniłem sobie niewielką zgrabną sprężarkę i należący do niej pistolet naprężkowy, oraz puszki ze zgęszczonymi farbami wraz z dużym zbiornikiem rozpuszczalnika.

Z Leszna przywiózłem swoje przybory, ale wkrótce pojechałem z polecenia szefa do Poznania. Z pełnym zaufaniem wręczył mi dwie kostki masła mówiąc, że one mi ułatwią nabycie czegokolwiek. Miał rację, bo wręczyłem je młodym polskim ekspedientkom w specjalnym, znanym mi sprzed wojny, sklepie pana Thomasa przy narożniku ulic Paderewskiego i Murnej.

▶ Ale muszę jeszcze opowiedzieć o niecodziennym wydarzeniu, które mnie spotkało zaraz, na samym początku, w pierwszym dniu pracy. Otóż wchodzi śmiało do mojej pracowni zatrudniona w zakładzie młodzianka dziewczyna i mówi: „Dzień dobry Panu. Założyłam się z koleżankami, że zaraz pierwszego dnia się z Panem zapoznam. Nazywam się Kazia Ławniczakówna. Przed wojną byłam uczennicą tutejszego gimnazjum, a

mój ojciec jest urzędnikiem kościańskiej poczty”. No i zaczęliśmy się regularnie spotykać.

Króciutko trwały moje dojazdy, bo już po kilkunastu dniach uzyskałem pomieszczenie u pani Marii Przybylskiej, starszej już wdowy w ostatnim leciwym dziewiętnastowiecznym domku przy ulicy Reymonta. Moja nowa gospodyni wskazała mi moje łóżko, stojące w kącie pokoju przy przyulicznym okienku. To nasze wspólne pomieszczenie było zarazem

pokojem mieszkalnym, sypialnią oraz skromną kuchenką. Pani Maria opowiedziała mi z dumą jak to ona z początkiem wieku handlując na kościańskim rynku warzywnym, pierwsza wprowadziła w mieście pomidory. Ja w tym nowym lokum spędzałem tylko noce, a w sobotnie wieczory wracałem do domu.

Pierwsze zadanie

Ten nowo mianowany, niemiecki kierownik Graphische Werkstätten in Kosten, uprościł niepomnie produkcję swej drukarni, a perfekcyjne plakaty pana Stefanowicza trzeba było usunąć z widoku. Ja natomiast otrzymałem od pana Schirmera pierwsze zadanie, polecił mi wykonać jak najzdobniejszy plan-mapkę powiatu kościańskiego. Tam gdzie nazwa miejscowości np. Kurza Góra, Śmigiel sugerowała rysunek wykonałem go, inne również starałem się ozdobić, w lasach zwierzyń, na polach maszyny rolnicze, na drogach wozy z zaprzęgiem, na szynach parowozy i wagony itp. Ten plan wisiał cały czas nad biurkiem szefowym. Zaraz też wykonałem nad wszystkimi drzwiami części administracyjnych temperowe scenki na tematy drukarstwa według drzeworytów z okresu Jana Gutenberga.

W czasach okupacji nie obowiązywały Polaków jakieś normy pracy, więc podczas krótkich przerw wielu z nas chodziło na obiady do stołówki, która mieściła się na samym początku po prawej stronie ulicy Bernardyńskiej. Gotowały w niej polskie panie kucharki i te obiady muszę dzisiaj pochwalić, bo zawsze mi smakowały. Tylko zupy bywały dla mnie za gorące, więc studziłem je dolewając do nich zimnego piwa. Do dzisiaj nie znoszę jakiegokolwiek gorącego jada lub napoju. W chłodniejszych miesiącach bywało w Kościanie mięso „drobiowe” bez kart żywnościowych. Ktoś łapał przylatujące ze wschodu czy północy gawrony, a w kuchni dworcowej je umiejętnie pieczono. Zachodziłem tam dość często i chwaliłem sobie ten specjał. Smakiem niczym się nie różniły od kurczaków. Przeróżne dziwaczne pomysły miewają ludzie w czasach kryzysowych.

Często łąziłem uliczkami mojego nowego miasteczka i jego bliskiej okolicy mając na ramieniu zawieszony aparat fotograficzny. A kiedy zauważyłem



Kościan w obiektywie Józefa Skorackiego.

Fotografia z 1943 r. Fot. w zbiorach Jerzego Zielonki

ciekawym obiektem dobrze oświetlonym pstrykałem go. Zaczynała się wówczas akurat era fotografii barwnej, więc i ja z tej znakomitej okazji korzystałem. Prześrocz kolorowe wywoływano na początku lat czterdziestych jedynie w dwóch laboratoriach w Berlinie i Wiedniu. Ja moje naświetlone filmy wysyłałem do tego drugiego miasta, bo przekonałem się o większej staranności wiedeńskich. Sporą część tych oprawionych w ramki widoczków przechowuję jeszcze w moich zasobach i trzeba będzie je przekazać Kościanowi.

Szef oglądając te moje prywatne osiągnięcia zlecił mi sporządzenie kompletnego zestawu kolorowych przeźroczy wszystkich wewnątrz zakładu, wszelkich maszyn i urządzeń oraz pracowników na ich stanowiskach pracy. Kupa poważnej roboty, ale miałem już niezłą kamerę fotograficzną o nazwie „Vito” z obiektywem o jasności 3,5 „Skopar”, „prawdziwy” światłomierz, składany, wprawdzie lekki statyw i trzy silne 500 i 1000-watowe matowe lampy w aluminiowych kloszach. Starannie wybierałem stanowiska, godziny dnia dla uzyskania najlepszego oświetlenia przez górne okna. A muszę przypomnieć, że te stare drukarnie charakteryzował z ogromną przewagą kolor czarny. Ale opłaciło się, bo kiedy ta ogromna ilość przeźroczy wróciła z Wiednia, to nie znalazłem wśród nich żadnej nieudanej fotografii. Przydało się moje już osmioletnie doświadczenie w tej dziedzinie. Najokazalsze przeźrocza wmontowałem w 80x80 milimetrowe reklamówki zakładu, które przez wiele miesięcy wyświetlano na ekranie lokalnego kina.

Nieco intymnie

Z Kazią, która mnie odwiedziła pierwszego dnia szybkoitko się zaprzyjaźniłem. Była niewątpliwie najurodziwszą spośród wielu pracownic drukarni, ale nasz układ był trochę osobliwy, kuriozalny. Ja byłem przez wojenne lata wierny mojej poznańskiej przyjaciółce i koleżance szkolnej Krystynie. Prowadziłem z nią korespondencję do Ostrowca Świętokrzyskiego i później do Warszawy, w marcu zasyłałem w dniu jej imienin kwiaty. A nowopoznana Kazia częstowała mnie entuzjastycznymi opowiastkami o jakimś młodym Angliku,

któremu zanosila różne paczki do pobliskiego obozu jenieckiego. Byłem więc cały czas naszej znajomości przekonany, że jest w nim zakochana. Spotykaliśmy się często, chadzaliśmy najczęściej do miejskiego lasu, siadaliśmy na ławkach i z wzajemnością całowali.

Jakoś w połowie 1943 r. kościański kwaterunek wyprowadził moją gospośnię z ciemnej izby przy ulicy Reymonta i przyznał jej nowy, jasny, również parterowy pokój na podwórzu przy ulicy Sienkiewicza. Ten dom był już podpiwniczony, bo pamiętam, że

wchodziłem do tego nowego lokum po pięciu zewnętrznych schodkach.

Do mojej kościańskiej pracowni przychodził dość regularnie niemiecki podoficer, przynosząc ze sobą jedną lub dwie akwarele do mojej oceny. Tematem ich były zawsze okoliczne tzw. oczka wodne. Szukał tych polodowcowych relikwów, szczęśliwy je odnajdywał, a potem malował. Są to niewielkie zagłębienia wypełnione wodą i obrośnięte dookoła gęsto drzewami, krzakami i

W niemieckiej kościańskiej drukarni otrzymałem zupełnie przyzwoitą pracownię, której wschodnia ściana była cała przeszklona, a południowe wejście wychodziło na stanowisko introligatorskie, które prowadziła pani Basia Achmańska ze swoim bratem. W tym wejściu nie było drzwi, ale to mi zupełnie nie przeszkadzało. W moim pokoju zastatałem przy oknie długi stół, dwa krzesła, dwie oszklone szafki, i sztalugę, którą zaraz dokupiłem. Były tam jeszcze jakieś urządzenia zbędne po panu Stefanowiczu, z których cenitem sobie niewielką zgrabną elektryczną sprężarkę i należący do niej pistolet napryskowy, oraz puszkę ze zgęszczonymi farbami wraz z dużym zbiornikiem rozpuszczalnika. Z Leszna przywiozłem swoje przybory, ale wkrótce pojechałem z polecenia szefa do Poznania. Z pełnym zaufaniem wręczył mi dwie kostki masła, mówiąc, że one mi ułatwią nabycie czegośkolwiek. Miał rację, bo wręczyłem je młodym polskim ekspedientkom w specjalnym, znanym mi przed wojną, sklepie pana Thomasa przy narożniku ulic Paderewskiego i Murnej.

Ale muszę jeszcze szybko opowiedzieć o niecodziennym wydarzeniu, które mnie spotkało zaraz, na samym początku ~~pracy~~ w pierwszym dniu pracy. Dłóż wchodził śmiało do mojej pracowni zatrudniona w zakładzie młodzieżka dziewczyna i mówi: „Dzień dobry Panu. Zatożyłam się z koleżankami, że zaraz pierwszego dnia się z Panem zapoznam. Nazywam się Kazia Ławniczakówna. Przed wojną byłam uczennicą tu-tejszego gimnazjum, a mój ojciec jest urzędnikiem kościańskiej poczty”. No i zaczęliśmy się regularnie spotykać.

Króciutko trwały moje dojazdy, bo już po kilkunastu dniach uzyskałem pomieszczenie u pani Marii Przybylskiej, starszej już wdowy w ostatnim leciwym dziewiętnastowiecznym domku przy ulicy Reymonta. Moja nowa gospodyni wskazała mi moje łóżko, stojące w kącie pokoju przy przyulicznym okienku.

Strona z rękopisu wspomnień Józefa Skorackiego.

W zbiorach Jerzego Zielonki

▶ różną roślinnością wodną. Jego naczelną zasadą malarzką było „Panie, w każdym obrazie może być tylko jedno miejsce najjaśniejsze”. Otrzymując moją akceptującą opinię opuszczał pracownię, aby malować następne oczko. Technika akwarelową posługiwał się już swobodnie, choć odrobinię nazbyt suchy, ale dobrze wczuwał się w kolory. Był ode mnie starszy około pięćdziesiąt lat.

Końskie oczarowanie

Pewnego dnia szef wysłał mnie do Jarogniewie, abym obfotografował tamtejszą hodowlę koni. Pożyczył mi, jak zwykle swój rower, z którego sam chyba nigdy nie korzystał. Zabrałem mój sprzęt i stwierdziłem, że koń jest niezwykle urokliwym obiektem, ale nieprawdopodobnie trudnym motywem do sfotografowania. Pejzaż, architektura, wnętrza, człowiek to łatwizna, bo albo się nie porusza i można wybrać godzinę z najefektywniejszym oświetleniem, albo można go upozować, korzystnie oświetlić, wybrać tło. A z koniem nie da się porozumieć i trzeba dużo czasu i cierpliwości, godzinami koło niego chodzić, czujnie obserwować i odczekać tej krótkiej chwili kiedy się przypadkowo korzystnie ustawi. Z tej mojej eskapady, mimo wykonania 36 fotosów, z żadnego nie byłem zadowolony.

Mój następny wyjazd do koni do stadniny w Racocie, miał zupełnie odmienny charakter. Tam kameralność, a tu duże stada na ogromnych przestrzeniach. Niemcy zagrabiliby i przywieźli z terenów Mołdawii, Ukrainy, Krymu i Zaporozża tabuny różnych końskich odmian, które nagromadzili na rozległych pastwiskach. Był wśród tych koni osobliwy gatunek, który podczas odpoczynku czy snu pokładał się na podłożu, kiedy wszystkie inne całe życie albo stoją, chodzą lub galopują i nigdy się nie kładą. Co ja, na moim rowerku wśród wysokich traw mogłem zdziałać, z niewielkim dorobkiem wróciłem do Kościana, ale jakiś materiał do nowego miesięcznika lokalnego zawsze był. (cdn)

JÓZEF SKORACKI

O ochotniczej straży pożarnej (2)

Zakończenie działań wojennych w 1918 r. to czas tworzenia nowej Polski, zarówno w sferze politycznej, ekonomicznej jak i społecznej. Także rozbity ruch strażacki wymagał zintegrowania w jednolitą organizację. Do pokonania było wiele trudności wynikających z różnorodności ustrojów poszczególnych związków, tradycji i zwyczajów, czy wreszcie przepisów prawnych.

Jedni z najlepszych

Wobec silnego nurtu zjednoczeniowego - na pierwszym ogólnopolskim zjeździe delegatów - w dniach 8-9 września 1921 r. w Warszawie utworzono Główny Związek Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej, który tworzyły związki: Floriański, Małopolski, Wielkopolski, Pomorski, Śląski oraz Krajowy Związek Straży Pożarnych na Śląsku Cieszyńskim. W 1933 r. zmieniono nazwę na Związek Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej, który uznano za stowarzyszenie wyższej użyteczności. Ochrona przeciwpożarowa spoczywała wówczas na strażach ochotniczych. W 1924 r. istniało w kraju tylko 28 straży zawodowych. Do 1930 r. liczba strażaków rosła, potem w efekcie kryzysu gospodarczego, zahamowano tempo tworzenia nowych jednostek. Rozpoczęła się praca bardziej systematyczna, zmierzająca do właściwego wyposażenia i wyszkolenia istniejących straży.

Szczególny był rok 1934, w którym ukazała się ustawa o ochronie przed pożarami i innymi klęskami. Podstawowe zadania w tym obszarze spoczęły na gminach. Ustawa przewidywała wprowadzenie straży zawodowych, ochotniczych i obowiązkowych. Dopuszczala też tworzenie straży prywatnych.

W czerwcu 1919 r. kościańscy strażacy ochotnicy spotkali się pierwszy raz na walnym zebraniu w nowej politycznej rzeczywistości. W skład zarządu weszli już tylko Polacy. Naczelnikiem wybrano Macieja Prusiewicza. Ważnym symbolem wszelkich organizacji militarnych i paramilitarnych był sztandar. Takowy OSP otrzymała w 1921 r. (47 lat istnienia), jako dar od kończącego działalność Towarzystwa Czeladzi. Wyrażne ożywienie pracy OSP nastąpiło od

1922 r., gdy naczelnikiem wybrano Ignacego Richtera. To jedna z najjaśniejszych postaci kościańskiego pożarnictwa i rzemiosła. Kościaniacy wkrótce stali się jednym z najlepiej przygotowanych oddziałów Wielkopolski. Poczyniono poważne zakupy: dotąd walkę z pożarami prowadzono za pomocą sikawek konnych, ale w 1931 r. kupiono motopompę. Tego też roku nabyto stare podwozie samochodu „Ford” – tylko na tyle było stać strażaków. Karoserię zaprojektował Ignacy Richter. Pojazd przyjęto do eksploatacji w 1932 r. Drużyna auto było darem od lokalnej cukrowni. Środki na sprzęt i statutową działalność pochodziły z nagród za sukcesy w zawodach pożarniczych, pieniądze pozyskiwano także z wystawiania sztuk teatralnych. W 1938 r. rozpoczęto budowę nowej strażnicy, którą ukończono dopiero w 1942 r.

Kościaniacy pojawiali się z sukcesem na arenach zawodów pożarniczych. W 1924 r. w Ogólnopolskich Zawodach Strażackich w Poznaniu zajęli VI miejsce w kraju. Trzy lata później na Wszepolskim Zjeździe Strażactwa w Poznaniu OSP Kościan otrzymała II nagrodę związkową i V krajową. W zawodach wojewódzkich z okazji Powszechnej Wystawy Krajowej kościańska OSP zajęła I miejsce. Podobnie w 1932 i 1935 r. Ponownie tak silny zespół stanowić będą dopiero w pół wieku później.

W 1939 r. kościańskie samochody strażackie wyjechały na pomoc Warszawie. Po drodze jeden zbombardowano, drugi wrócił w listopadzie. Strażaków polskich pospołu z niemieckimi powołano do służby w strażackim oddziale bojowym. Uzbrojenie straży wzmocniono taborem konnym. Prezes OSP – dh

Ignacy Richter został aresztowany i cudem uszedł z życiem. Wiele prób namówienia go do podpisania Volkslisty spełzło na niczym, a byłoby to dla okupanta lokalnym sukcesem propagandowym. W 1942 r. ukończono budowę strażnicy, która na jakiś czas zmieniła swą funkcję, gdyż świetlica służyła jako sala lekcyjna dla dzieci niemieckich, a od grudnia 1944 r. stała się schroniskiem dla uciekinierów niemieckich ze wschodniej części kraju, którą zajmowała Armia Radziecka i Wojsko Polskie. Trudnym momentem było wycofywanie się okupanta, wobec podjętej przez niego ewakuacji sprzętu. Z narażeniem życia strażacy ukryli w piwnicach i na wieży kilka tysięcy metrów węży strażackich, umundurowanie i osobiste wyposażenie.

W peerelowskiej rzeczywistości

W nowej Polsce pożarnictwo bazowało na wzorach sprzed 1939 r. W sierpniu 1944 r. przedstawiono pierwsze dokumenty dotyczące organizacji ochrony przeciwpożarowej. W grudniu tegoż roku utworzono Główny Inspektorat Pożarnictwa w Ministerstwie Administracji Publicznej. Struktury te ulegały z czasem zmianom.

Z dniem 30 listopada 1945 r. reaktywowano Związek Straży Pożarnych, który działał do 24 października 1949 r. Związek przyjął na siebie między innymi prowadzenie szkolenia, tworząc przez wojewódzkie okręgi ZOSP – ośrodki szkolenia pożarniczego (z czasem o nazwie Wojewódzkie Szkoły Pożarnicze). Po ponownym rozwiązaniu związku sprawy ochotniczych straży pożarnych w kraju podporządkowano komendantom Zawodowych Straży Pożarnych. Decyzja ta znacznie osłabiła społeczną działalność strażaków ochotników, a wielu z nich odeszło ze służby.

Istotna zmiana nastąpiła z chwilą ukazania się Ustawy o ochronie przeciwpożarowej i jej organizacji z dnia 4 lutego 1950 r., która stanowiła, że centralnym organem administracji państwowej w tym zakresie jest Minister Spraw Wewnętrznych, a jego organem - Komenda Główna Straży Pożarnych. W terenie, przy prezydiach wojewódzkich i powiatowych (miejskich) rad narodowych, utworzono komendy straży pożarnych, które przejęły nadzór nad całokształtem ochrony przeciwpożarowej. Cała struktura była mocno scentralizowana. Zgodnie z ustawą pracownicy



Kościańscy strażacy w czasie ćwiczeń

Fot. Bogdan Ludowicz

zawodowi tworzyli Korpus Techniczny Pożarnictwa. Ustawa wprowadzała planową działalność prewencyjną, dotychczas ograniczaną. Z mocy prawa państwo przyjęło na siebie główny ciężar zabezpieczenia przed pożarami majątku narodowego, życia i mienia obywateli.

28 grudnia 1956 r. na mocy uchwały Krajowego Zjazdu Delegatów Ochotniczych Straży Pożarnych utworzono, a raczej reaktywowano Związek Ochotniczych Straży Pożarnych, który działa do dzisiaj. Przywrócono tradycyjne formy pracy i formy strukturalne. W 1992 r. IX Krajowy Zjazd OSP zmienił nazwę na Związek Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej.

Kolejna regulacja prawna nastąpiła w 1960 r. z mocy ustawy o ochronie przeciwpożarowej. Nadzór nad ochroną przeciwpożarową powierzono Ministrowi Spraw Wewnętrznych. Komenda Główna Straży Pożarnych jako organ tegoż resortu, sprawowała fachowe kierownictwo i koordynowała całokształt spraw ochrony przeciwpożarowej oraz nadzorowała wszystkie jednostki pożarnicze. Strażactwo zawodowe przeszło swego rodzaju rewolucję za sprawą dekretu o służbie funkcjonariuszy pożarnictwa z 1974 r. Rok później wprowadzono nowy podział administracyjny kraju i nowe struktury ochrony przeciwpożarowej.

Przeobrażenia polityczne, a w ślad za nimi gospodarcze, jakie nastąpiły w Polsce wymagały nowego spojrzenia na ochronę przeciwpożarową. W 1991 r. ukazały się dwie znamienne ustawy: o ochronie przeciwpożarowej oraz o Pań-

stwowej Straży Pożarnej. Owa nowa formacja od 1992 r. przejęła na siebie ciężar ratownictwa technicznego, chemicznego, ekologicznego, stając się wiodącą służbą w systemie bezpieczeństwa wewnętrznego kraju.

Co słyśćać w Kościanie?

Zaraz po wyzwoleniu ziem polskich spod okupacji niemieckiej przystąpiono do reaktywacji straży pożarnej. Pierwsze walne zebranie OSP (ponownie w nowej rzeczywistości politycznej) odbyło się 29 stycznia 1945 r. Kompletowano sprzęt, wprowadzono stałe dyżury, podjęto intensywne szkolenie członków OSP. Zmieniły się symbole, godła. Konieczna stała się zmiana sztandarów. Te nadano OSP w latach 1962 i 1999. W stulecie działalności sztandar jednostki odznaczono „Złotym Znakiem Związku”.

Po 1974 r. jednostka zaczęła odnosić szereg znaczących sukcesów sportowych, żeby wymienić niektóre z nich: w zawodach krajowych VII miejsce w Poznaniu w 1980 r., I miejsce w 1984 r. w Białymstoku, IV miejsce w 1988 r. w Łodzi; zawody wojewódzkie I miejsca w latach – 1978, 1980; 1985; zawody rejonowe – dwukrotnie I miejsca w latach 1980 i 1981; sześciokrotne zwycięstwa w zawodach miejskich. Drużyna startowała w zawodach piłki siatkowej. W 2008 r. OSP została wicemistrzem kraju w zawodach według regulaminu CTIF. W efekcie kościaniacy musieli przygotować się do startu w strażackiej olimpiadzie, nieste-



Piotr Bielicki z młodymi ochotnikami

Fot. Bogdan Ludowicz

ty wrócili bez spodziewanego sukcesu.

Wiele uwagi poświęcano pracy z młodzieżą. W latach 80. ub. w. funkcjonował przy OSP Szczep Harcerskich Drużyny Pożarniczych. Obecnie działają Młodzieżowe Drużyny Pożarnicze – żeńska i męska. Wcześniej drużyny zdobyły trzecią nagrodę w kraju w konkursie „Tworzymy powszechny front przeciwpożarowy”. HDP uczestniczyły w Centralnych Manewrach Techniczno-

Obronnych zajmując w eliminacjach okręgowych wysokie miejsca. W 1982 r. reprezentacja szczepu zajęła I miejsce w eliminacjach wojewódzkich, a na eliminacjach okręgowych VII miejsce w kategorii szkół podstawowych i IV miejsce w grupie szkół ponadpodstawowych. Młodzieżowcy wygrali zawody wojewódzkie w 1982 r. W Międzynarodowych Zawodach CTIF w 1995 r. młodzi strażacy zajęli V miejsce, w 1996 – II, 1998 – III, 2002 – w Niemczech II, 2006 r. – II miejsce. Dla młodych ludzi organi-

zuje się corocznie obozy szkoleniowo-wypoczynkowe, zabawy i wycieczki do atrakcyjnych miejsc w kraju. Dużą aktywność wykazuje Drużyna Wodna. Na strychu strażnicy powstaje harcówka. Stałym elementem pracy była nauka pływania, chociaż najbliższy kryty basen wtedy mieliśmy w Poznaniu. Warto wspomnieć nieocenionych działaczy strażacko-harcerskich tamtego czasu: Ewę Nowak, Staszka Wenclewskiego, Jurka Kliemana.

OSP dba o rozwój ratownictwa wodnego. W 2002 r. podczas Mistrzostw Płetwonurków Wielkopolski kościaniacy byli bezkonkurencyjni odnosząc podwójne zwycięstwo drużynowo (I i II miejsce) oraz I w konkurencji indywidualnej. Cały czas utrzymują się w czołówce krajowej. Nie zaniedbano tworzenia drużyn żeńskich. Pojawiły się dziewczęta w Szczepie HDP, a od trzech lat jako drużyny żeńskie samodzielne, kierowane przez wychowankę z pierwszej drużyny, świetną w tej roli druhnę Bogumiłę Mocek.

Obecnie kościańska OSP liczy 80 członków. W drużynach młodzieżowych działa 20 dziewcząt i 20 chłopców. Dla drużyn organizuje się corocznie kursy dla członków MDP.

PIOTRBIELICKI

* Tytuł artykułu i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Krzysztof Żegocki czyli Oswobodzenie Kościana (2)

W pierwszym odcinku powieści Wandy Dobrzepolskiej w zaułku jednej z ulic Kościana spotkali się kuśnierz Andrzej z rzeźnikiem Bartłojem pomstując na Szwedów okupujących miasto. Rzemieślnicy rozpaczali nad zbezczeszczoną i ograbioną farą, z której najeźdźcy wykradli kielichy i monstrancje. Młody kupiec Szymon Jakubowski obmyślił plan pobicia panoszących się Szwedów i rozpoczął poszukiwanie sprzymierzeńców odważnego planu. Na początek postanowił udać się do burmistrza Gertycha, którego córkę Annę szczerze miłował.

Uwagę Jakubowskiego zwrócił, gdy ostatnich słów domawiał, hałas, zbliżający się coraz bardziej. Płacz i narzekanie kobiet, krzyki i przekleństwa mężów, przerywane czasami straszną klątwą lub groźbą, w szwedzkim wypowie-

dzianą języku; to znów słyszeć się dał łoskot broni o bruk uderzającej i brzęk ostróg. I wnet ukazała im się przyczyna tak różnorodnych głosów i dźwięków. Trzej mieszczanie ujrzeni z strasznym oburzeniem okutego w kajdany księdza, prowadzonego do

więzienia przez rotę naigrawającego się z kapłana żołdaków. A tłum ludu towarzyszył temu pochodowi, przeklinając wrogów, lub też narzekał i w rozpacz załamywał dłonie.

Jakubowski, wzburzony do żywego tym strasznym wido-

kiem, zwrócił się do ludu i donośnym zawołał głosem:

- Bracia! Czyż zezwolimy na to, żeby straszny gnębiel włókł w kajdanach, jak najgorszego zbrodniarza, Ojca naszego do lochu, lub może na śmierć haniebną? Kto z was ma jeszcze trochę poczucia godności człowieka, trochę miłości i przywiązania do wiary przodków, do jej kapłanów, niech stanie przy mnie, niech pomoże mi uwolnić naszego pasterza z rąk okrutnego wroga.

Na te słowa dzielnego młodziana połączyło się z nim natychmiast kilkunastu mieszczan. Z tą garstką rzucił się Szymon na eskortujących księdza Szwedów. Daremne były napomnienia, daremne groźby i klątwy Renskiolda, wodza eskorty, daremne nawet przedstawienia i błagania księdza Józefa, żeby go pozostawiono losowi, życie swe na lepsze zachowując czasy, dla ważniejszej sprawy. Wszczęła się krótkka, lecz zażarta walka, w której Szwedzi, gdy nie byli mogli sprostać natarczywej odwadze oburzonych mieszczan i dzielnemu ich wodzowi, puścili księdza i szukali w ucieczce ocalenia. Z dziką groźbą na ustach, wypowiedzianą naprzeciw Jakubowskiemu, opuścił kapitan Renskiold miejsce swej porażki.

- Wy, Ojczy przewielebny, rzekł Szymon do uwolnionego księdza, opuścić musicie natychmiast miasto, żebyście się powtórnie nie dostali w moc wrogów. Kuśnierz Antoni, który mieszka nad samym murem miasta, zna tajne przejście przez wały, wyprowadzi was z Kościana. Udacie się do bliskiego obozu starosty Żegockiego, tam będziecie bezpieczni. Powiedźcie mu o naszym planie, Antoni po drodze wam go wyjawia, a proście dla nas o pomoc.

- Uczynię, ile tylko słabe moje siły zdziałać mogą. Chociaż nie znam waszych zamiarów, jednak wiem, że one złemi być nie mogą, kiedy ty, Szymonie, stoisz na ich czele. A teraz bądźcie zdrowe, dziatki moje. Niechaj Bóg najwyższy i święci jego Anieli mają was w swej opiece i kierują waszemi krokami; oni wam, jeżeli nie w tem, to w przyszłym życiu wynagrodzą, coście z narażeniem własnego życia dla mnie, najniższego sługi Pana Zastępów, uczynili.

Po tych słowach oddalił się kapłan ze swym przewodnikiem, zanosząc

gorące modły do Boga, aby raczył błogosławić zamiarom jego obrońców.

- Wy, zaś, Bartłomieju, zwrócił się do rzeźnika Szymon, idźcie i przygotujcie braci do przedsięwziętego przez nas dzieła, aby byli gotowi, gdy czas do działania stosowny nadejdzie. Tylko ostrożnie, żeby się jaki zdrajca o naszych nie dowiedział zamiarach i nie doniósł o nich Szwedom przed czasem, bo wtenczas wszystko byłoby stracone. Ja teraz idę do Gertycha.

- Bądźcie spokojni, panie Szymonie; między nami nie znajdzie się zdrajca; ale radzę wam raz jeszcze, nie chodźcie do tego fałszywego człeka, a jeżeli od tego kroku rada dobrze życzącego przyjaciela powstrzymać was nie zdoła, to bądźcie z nim przynajmniej ile możności ostrożni.

Lecz daremne były rady i przestrogi poczciwego rzemieślnika. Do Gertycha, oprócz obowiązków, inny nie mniej silny magnes ciągnął serce młodego kupca. Były to czarujące oczy pięknej córki burmistrza, których już od dni kilku nie oglądał, a które go teraz niepowstrzymaną ciągnęły siłą do siebie.

ROZDZIAŁ II

Gertych był z urodzenia i przekonania tym, coby dziś w jednych stronach nazwano centralistami, w innych national-liberałami, a ogółową, zbiorową nazwą, kulturtregerami. To ostatnie miano sami sobie nadawali lubią. Czy słusznie? Rozstrzygnąć trudno.

Religia, ojczyzna były dla niego czcze wyrażenia, bez sensu i treści. Używał ich jednakże, gdy mu to było potrzebne do jakich osobistych widoków i korzyści, i to często z wielkim skutkiem. – W ogóle zaś trzymał się pod względem narodowości tej arcypraktycznej zasady, „że gdzie dobrze, tam moja ojczyzna”. Co do religii on w gruncie rzeczy bezwyznaniowym; przyznawał się jednakowóż, przedewszystkiem w pierwszych czasach swego przybycia do Polski, nim do majątku i niezależnego doszedł stanowiska, z wielką gorliwością do Kościoła katolickiego, gdyż to mu korzyść przynosiło. Gertych w największej prawie nędzy, o zebranych

chlebie, przybył gdzieś z dalekich krajów przed laty kilkunastu do Kościana. Tutaj pilnością i wytrwałością, lecz nie mniej także i za pomocą polskich obywateli miasta, którzy go, początkowo przynajmniej, w każdym przedsięwzięciu chętnie radą i czynem wspierali, wkrótce doszedł do dobrobytu, a wreszcie do znacznego nawet majątku. Że się zaś dobrze umiał ukrywać z wstrętnymi zasadami, więc obrano go lat kilka temu burmistrzem.

Teraz, gdy Szwedzi opanowali miasto, uczył się wolnym od krępującego przymusu, zrzucił maskę z siebie i pokazał się, jakim był w istocie, obłudnym chciwcem i samolubem. Pomimo to – a może właśnie dla tego, – że cały swój niezależny byt, zawdzięczał polskiemu miastu, udawał się za męczennika, który opuścił swą ucywilizowaną ojczyznę, aby roznosić zbawienne światło kultury do nieokrzesanego, barbarzyńskiego kraju, gdzie jego gorliwe działanie u ciemnych i niewdzięcznych mieszkańców nawet uznania nie zyskało. A wiemy dobrze, jak już wtenczas rozwiniętą była wysoko i ugruntowaną kultura zagranicą. Bezustanne prześladowania i krwawe rzezie na żydach dokonywane, ciągłe procesa i straszne kary czarownic i czarowników, przez które tysiące niewinnych ludzi śmierć okrutną znalazło, owo potworne wreszcie i niepraktykowane w dziejach innych narodów zjawisko bratobójczych wojen, dają nam piękną i wyraźną ilustrację tej wielkiej i zbawiennej kultury.

Lecz wróćmy do Gertycha. Oprócz tych wyżej wymienionych ciemnych stron charakteru, posiadał on inne, o wiele zgubniejsze. Pomiędzy temi górowała przedewszystkiem ogromna, niczem nienasycona chciwość. Gdzie upatrywał korzyść jaką, jakiś zysk dla siebie, tam nie wahał się popełnić największej podłości, a nawet zbrodni. Od zrobienia interesu nie powstrzymałyby go żadne uczucia, najświętsze obowiązki; sprzedałby, nie mówimy już Ojczyznę i wiarę, bo o to nie dbał, lecz najlepszego przyjaciela, bra-

▶ ta nawet, gdyby mu to korzyść przyniosło. Mieszczanie kościańscy teraz po napaździe Szwedów poznali Gertycha; bo też przypominamy sobie, jakie zdanie wypowiedział o nim rzeźnik Bartłomiej w rozmowie z Szymonem. Gertych był też obdarzony tą wadą, schlebiania i płaszczenia się przed silniejszymi, wynoszenia się zaś i gnębienia ile możliwości słabszych. Teraz więc, gdy Szwedzi opanowali Kościan, nie tylko że się do nich przyłączył, służył im we wszystkim, ale aby okazać swą gorliwość dla sprawy nieprzyjaciół, namawiał i podzegał do coraz większego ucisku biednych mieszczan, do coraz większych bezpra-

wi. Jediną jasną cechą charakteru brudnego Gertycha było serdeczne przywiązanie do córki, Anny. Ku niej skierowane były wszystkie prawie czynności, wszystkie myśli jego. Ją otoczył wszystkimi pieśczętami, całą czułością, do jakiej tylko zdolną była dusza jego. – Dla niej nic mu nie było niepodobnym, nic za drogiem. – Przed nią ukrywał starannie szkaradę swego serca, wszystkie wstrętne zasady, tak że Anna, która w młodym bardzo sercu straciła matkę, w ojcu swoim widziała zbiór cnoty i dobroci, i równem mu się odwdzięczała przywiązaniem. – A cudną była dziewczicą ta córka Gertycha! – Złote włosów sploty, zdradzające jej pochodzenie, otaczały niebiańską twa-

rzyczkę. Z błękitnych jej oczów patrzyła jakaś niewysłowiona dobroć i słodycz, przyciągająca wdziękiem niewinności. – Anna była typem tego, co zowią dobrej dziewczyny. W jej charakterze zjednoczone były główne zalety niewiasty. Anna nie była stworzona na bohaterkę, mogącą wielki i przeważny wpływ wywierać na losy narodu, lub nie miała tej energii, śmiałości i odwagi, tego hartu duszy, który cechuje tak często nasze Polki; nie czuła wielkiej i gorącej miłości do wspólnej Matki Ojczyzny, bo może nie wiedziała nawet co przez nią rozumieć trzeba, bo nikt jej dotychczas pod tym względem nie oświecił. Ale posiadała dobre i litosciwe serce, starające się łagodzić ile możliwości wszelką nędzę, wszelką boleść współbraci. Zнали ją też wszyscy ubodzy miasta, garnęli się do niej, jak do swojej opiekunki i dobrodziejki, i nazywali ją swym aniołem opiekuńczym. A ojciec, tak obrachowany zwykle, nie mogąc nic odmówić ukochanej córce, nie stawiał granic jej miłosierdziu, a nawet, często sam sobie tę słabość wymawiał, udzielał córce dostatecznych środków do dobrego czynnego działania. Charakter Anny, choć nie był silnym – nie mniej przeto był stałym. Kto raz pozyskał jej zaufanie i miłość, ten mógł być pewnym, że się na nich nigdy nie zawiedzie, że mu tę miłość czystą i nieskałaną zachowa do samej śmierci; że jeżeli tego będzie potrzeba dla dobra ukochanej osoby, wszystko, życie, a nawet szczęście swe poświęci. Nie mogło też serce Anny godniejszego uczynić wyboru, jak z Szymona. Szlachetny ten młodzieniec podzielał jej czystą i gorącą miłość równem uczuciem, równem poświęceniem. Dla Anny oddałby Szymon wszystko co człowieka wiąże do życia; wszystko krom obowiązków. Obowiązek, jakiego wymagają Ojczyzna i wiara, górował u Szymona nawet ponad gorącą miłością do Anny. Przekonanie o powinności bezwzględnej tego obowiązku było najpierwszem, najwyższem i najświętszem uczuciem w duszy Szymona; po niem dopiero następowała miłość do pięknej narzeczonej. – Ona nie rozumiała tego uczucia dusza jej nie doszła jeszcze do tego polotu, nie zrównała się jeszcze pod tym względem z duszą Szymona. – Jej serce litowało



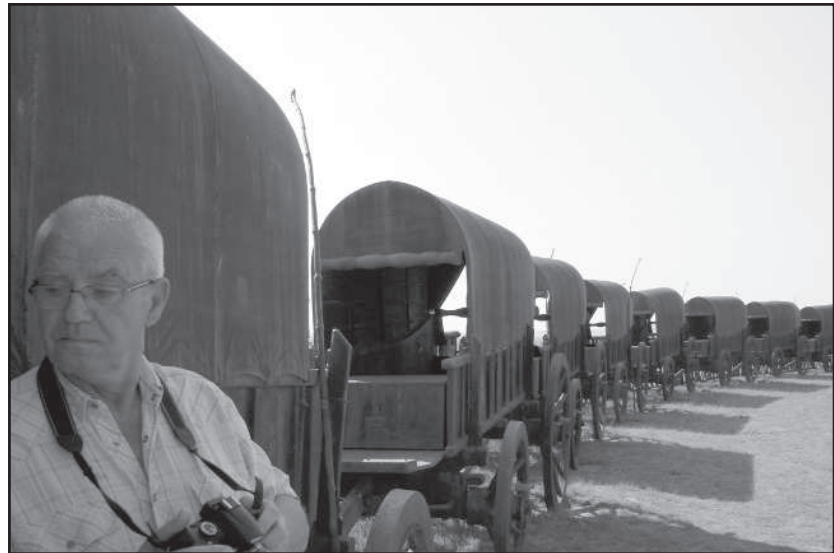
Dawny Kościan.

Z teki drzeworytów Stefana Becha

się szczerze nad każdą nędzą pojedynczą, lecz litość ta nie wyszła po za obręb chaty ubogich nędzarzy, nie była zdolną objąć całego cierpiącego narodu. Nie pojmowała, że szczęście człowieka jest związane z życiem całego kraju, a nie tylko z rodziną, nie z pojedynczym miastem. Annie zarówno było, czy Polacy czy Szwedzi rządzą w kraju, byle jej tylko nie przeszkadzali w dobroczynnych dziełach. O bezprawia i okrucieństwach wrogów, w przyjaznym Szwedom domu ojca nic prawie nie słyszała; a gdy ją o groźnym ucisku czasem dochodziły wieści, potrafił je stary Gertych, któremu wierzyć była zwykłą jak wyroczni, wystawić jako bezzasadne i umyślne złych ludzi zmyślenia, w celu rozjątrzenia ludu naprzeciw łagodnym i sprawiedliwym Szwedom. Z Szymonem widziała się wprawdzie kilka razy od czasu przybycia Szwedów, ale na czas tak krótki, że ten jej opłakanego stanu miasta wyjawic nie mógł, po części zaś wstrzymywał się od tego w domu Gertycha. – Szymon przeczuwał na jakie niebezpieczeństwo, siebie i plan swój wystawia, wyjaśniając go Gertychowi. Lecz z jednej strony nie poznał jeszcze zupełnie Gertycha, nie przypuszczał, żeby był tak podłym, aby zdradził w ostatecznej, stanowczej chwili miasto, któremu był tyle winien; z drugiej strony znów liczył na swój, a przeważnie wpływ Anny na ojca. (cdn)

WANDA DOBRZEPOLSKA

*) Są to fragmenty powieści historycznej z XVII w. Wandy Dobrzepolskiej. W tekście zachowano pisownię oryginału. Pisarka i tłumaczka Emma Puffke (ps. artystyczny Wanda Dobrzepolska) urodziła się 28 listopada 1818 r. w Poznaniu. Ojciec Stanisław Kurowski był ziemianinem, matka Marianna z domu Wroniecka. Uczyła się w szkole im. Ludwiki w Poznaniu. W 1836 r. poślubiła Niemca ziemianina Maurycego Puffke, który był przyjaźnie nastawiony do Polaków. W 1862 r. Emma Puffke otworzyła w Kościanie pensję, którą prowadziła do 1875 r. Jest autorką kilkudziesięciu opowiadań i powieści, m.in.: „Dwaj bracia różnego wychowania”, powieści historycznej „Krzysztof Żegocki, czyli oswobodzenie Kościana”. Zmarła 17 października 1890 r. (tm)



Autor reportażu

Fot. z arch. Zdzisława Wojtczaka

Bitwa nad Krwawą Rzeką

Po wylądowaniu w miasteczku o nazwie Vryheid, wypożyczeniu samochodu od mieszkającego tam od lat 80. ub. wieku Polaka (prowadzi praktykę dentystyczną i nie jest tam wcale jedynym naszym rodakiem) wyruszyliśmy asfaltową szosą w kierunku na Dundee. Gdzieś po czterdziestu kilometrach skręciliśmy w szutrową drogę, którą po wybojach, raz mniejszych, raz większych, pokonaliśmy jeszcze z dwadzieścia kilometrów całkowitego bezludzia. Wreszcie otworzyła się przed nami rozległa, zielona równina, otaczały ją ciemniejące na widnokręgu wzgórza. To tu w latach 30. XIX w. rozegrały się wydarzenia, które wywarły istotny wpływ na historię kraju dziś noszącego nazwę Republika Południowej Afryki. To z tej równiny wiatr niesie ku nam echa dawnych zdarzeń.

Wielki Trek

Było zaś tak. Po 1806 r. Brytyjczycy utworzyli na terenie Kraju Przylądkowego stałą kolonię i rozpoczęli przeprowadzanie rozległych reform polityczno społecznych. M.in. pozbawili Burów (potomków holenderskich osadników z XVII w.) praw obywatelskich, praktycznie uniemożliwiając im jakąkolwiek działalność polityczną. W 1833 r. zniesiła także niewolnictwo. Burowie, którzy nie mogli się z tym wszystkim pogodzić, masowo opuszczali dotychczasowe siedziby. Kierowali się na północny zachód w głąb lądu w poszukiwaniu nowych terenów do zasiedlenia.

Łączył ich język afrikaans – język prostych, zwykłych ludzi, i religia – ortodoksyjny kalwinizm, który wymagał od swoich wyznawców ciężkiej pracy i pogardy dla zbytków tego świata. Takie podejście idealnie pasowało do realiów surowego pasterskiego życia jakiego wiedli Burowie. Dodatkowo spajał ich wspólny los. Wielki Trek. Jak rozumieć to pojęcie? Może tak. To porzucenie dotychczasowego stanu rzeczy i wyprawa w nieznaną. Wyprawa z której nie ma już powrotu. Niektórzy Wielki Trek porównują do wyjścia Izraelitów z Egiptu.

Uczestnicy Wielkiego Treku nazywani voortrekkerami wę-



► drowali tygodniami zaprzężonymi w woły wozami, krytymi brezentem, razem z rodzinami i stadami bydła. Można sobie tylko wyobrazić ich trudy i perypetie na afrykańskich bezdrożach. Otaczał ich obcy świat pełen niebezpieczeństw, pułapek i wrogów. Do tych ostatnich należały plemiona murzyńskie, które żyły na zajmowanych przez nich ziemiach. W szczególności zaś liczni i bitni Zulusi. Konflikt pomiędzy przybyszami i miejscowymi był tylko kwestią czasu.

Podstęp króla Dingane

Kulminacja walk nastąpiła w latach 1837-1838. Przywódcą jednej z grup voortrekkerów, liczącej około 600 osób, był Piet Retief. Swoją grupę wprowadził na teren Zulusów, którym wówczas przewodził król Dingane. Ten ostatni

wydał pisemną zgodę na osiedlenie się grupy Retiefa, w zamian poprosił o pomoc w odzyskaniu skradzionego bydła przez inne plemię, którego wodzem był Sekonyela. Retief doprowadził do porozumienia z Sekonvela i odzyskał bydło Dingane. Z tej okazji 6 lutego 1838 r. Dingane zarządził wielką uroczystość, na którą zaprosił voortrekkerów Retiefa oraz jego samego z synem. Przedtem, niby zgodnie z tradycją Zulusów, poproszono voortrekkerów o pozostawienie broni. W czasie obrzędowego tańca mężczyzn, na rozkaz Dingane, rzucono się na gości i wszystkich wymordowano. W nocy wojownicy Dingane pozabijali resztę voortrekkerów, którzy przebywali w pobliskim obozie. Nie oszczędzono nawet kobiet z dziećmi.

Wydawało się, że sytuacja powtórzy się, gdy w grudniu 1938 r. dwudziestoty-

siężna armia Zulusów zastąpiła drogę oddziałowi 464 voortrekkerów, którzy 64 wozami pod wodzą Andreeasa Pretoriusa zatrzymali się nad brzegiem rzeki noszącej wówczas nazwę Ncome. Voortrekkerzy wiedzieli wcześniej o zbliżających się Zulusach. Pretorius zdecydował się przystąpić do bitwy nad rzeką. Połączone wozy utworzyły krąg w którym schronili się i ludzie, i bydło. 15 grudnia 1838 r. wieczorem Burowie długo modlili się do Boga o pomoc, złożyli także przysięgę, że w przypadku zwycięstwa zbudują kościół, a ten dzień ustanowią świętem.

W poniedziałek, 16 grudnia rozgorzała bitwa. Zulusi ponawiali jeden atak za drugim. Dowodził nimi główny doradca Dingane i jego krewny KaSompisi Ndlela. Burowie odparli wszystkie ataki. W końcu Pretorius nakazał grupie jeźdźców zaatakować Zulusów w otwartym polu. To ostatecznie przesądziło o zwycięstwie Burów. Poległo ponad 3 tysiące zuluskich wojowników. Liczby rannych nikt nie ustalał. Po stronie voortrekkerów nie było strat, „tylko” trzy osoby odniosły rany - w tym w rękę Andreas Pretorius. Rzeka Ncome spłynęła krwią Zulusów i odtąd nosi nazwę Blood River (Krwawa Rzeka).

Spełniona przysięga

Stoimy w miejscu, gdzie przed laty rozegrała się bitwa nad Krwawą Rzeką. Fakt ten upamiętnia znacznych rozmiarów kamienny wóz. Stoi na postumencie, nieco dalej odtworzono tabor składający się z 64 wozów z brązu, które są większe od tych rzeczywistych. Z latami koryto Blood River zdążyło odsunąć się od obozu. Dziś rzeka płynie oddalona o jakieś dwa kilometry. Obok monumentu znajduje się małe muzeum bitwy, w którym można kupić widokówki, książki a nawet film na DVD w językach afrikaans i angielskim. W muzeum odtworzono także wóz voortrekkerów, zachowało się ponoć autentyczne koło od jednego z pojazdów. Wpisując się do wyłożonej księgi pamiątkowej stwierdziłem, że w opasłym tomisku mój wpis jest pierwszym w języku polskim. Muzeum oferuje niewyszukane posiłki, co na tym odludziu nie jest bez znaczenia.

Czy Burowie spełnili przysięgę złożoną w przeddzień bitwy? Oczywiście. Bezpośrednio po bitwie nad Blood River doprowadzili do powstania miasta Pietermaritzburg - stolicy ówczesnej Republiki Natal (dziś ponad 130 tys. mieszkańców). W 1841 r. pobudowali tam Kościół Ślu-



Kamienny wóz upamiętnia bitwę z 1838 roku Fot. (2x) Zdzisław Wojtczak



Krwawa Rzeka – miejsce klęski Zulusów

bowania. Stoi do dziś. Jestem przy centralnym placu miasta - Churchill Square. W pobliżu mieści się Voortrekker Museum, w którym oglądam eksponaty z historii voortrekkerów oraz rzeźbiony tron króla Zulusów – Dingane. Do ekspozycji należy również nowoczesny Memorial Church z przysięgą Burów oraz dom Andriesa Pretoriusa. Na dziedzińcu muzeum stoją pomniki Pieta Retiefa i innego przywódcy Burów Gerta Maritza, zamordowanego przez Zulusów.

Klęska nad Blood River zachwiała pozycją Dingane. W styczniu 1840 r. został obalony przez brata Mpande i schronił się w królestwie Suazi, gdzie zmarł w 1843 r. Przez wszystkie minione lata dzień 16 grudnia w RPA był świętem publicznym pod nazwą Dzień Przysięgi, a od 1994 r. obchodzony jest jako Dzień Pojednania. Wśród Burów pamięć o opisywanych przeze mnie wydarzeniach jest ciągle żywa. Dość jeszcze wspomnieć o dwóch rzeczach z nimi związanymi. W 1851 r. na północy dzisiejszej RPA Martinus Pretorius, syn dowódcy znad Blood River, założył miasto, które na cześć Andrieasa nazwano Pretorią. To miasto było stolicą Unii Południowej Afryki. Dziś wiele się w tym kraju zmieniło. Zulusi, potomkowie tych znad Blood River, rządzą RPA. Przedstawiciel ich plemienia jest prezydentem. Toteż od marca 2005 r. Pretoria to tylko nazwa śródmieścia dawnego miasta. Samo miasto nosi nazwę Tshwane od imienia wodza plemienia zamieszkującego te tereny przed przybyciem Burów. Niektórzy natomiast powiadają, że ten termin, w jednym z murzyńskich dialektów znaczy „wszyscy jesteście równi”.

I jeszcze jedno. W stulecie bitwy nad Krwawą Rzeką rozpoczęto obok Pretorii budowę Pomnika Voortrekkerów. Ukończono ją w 1949 r. Ten potężny gmach widoczny jest z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Jest dla Burów symbolem odwagi i niezależności ich poprzedników. Kamienny mur wokół monumentu zdobną znowu 64 wozy ustawione w tabor. Sam gmach to olbrzymi sześcian. Na samym dole znajduje się „pusty grób” na nim płyta z wyrytym w afrikaans napisem „Ons vir jou Suit-Afrika” (Dla ciebie, Afryko Południowa). We wnętrzu monumentu panuje półmrok. 16 grudnia – tylko tego dnia, przez specjalny otwór w sklepieniu na płytę pada promień słońca oświetlając napis.

ZDZISŁAW WOJTCZAK

Szczwana gęś

Polowanie na gęsi zawsze było dla mnie czymś wyjątkowym i śmiało mogę powiedzieć: wśród innych łowieckich przeżyć cenię je najbardziej. Czekam na nie z utęsknieniem już od pierwszych przelotów. Głośno oznajmiając przybycie, gęsi lecą niejednokrotnie nad moim domem, doliną obrzańskich kanałów. Uświadamiam sobie wtedy, że jestem starszy o jeden sezon. Przypominają się wiernie towarzyszący gęsiom polowań - Birka i Alpa, które czekają na mnie w krainie wiecznych łowów. Każda z nich była inna, choć obie były Gordonkami. Birka - drobna płochliwa sunia - stawiała pierwsze łowieckie kroki przy Kondorze, doskonałym niemieckim wyśle krótkowłosym Staszka Grylewicza. Ze względu na mały wzrost nie dopuszczona do hodowli, brak wystawowych medali rekompensowała sobie znakomitymi sukcesami łowieckimi. Zaledwie osmiomiesięczna już regularnie aportowała ptaki i popisywała się pięknymi stójkami. Miała wspaniały myśliwski instynkt i doskonały wiatr. Ale wody nie lubiła. Wchodziła do niej gnana łowieckim instynktem, lecz bez radości, z jaką robiła to Alpa. Kiedyś podczas polowania na bażanty strzelony kogut spadł za szeroki kanał. Po wahanii ponagliła skoczyła do wody, przepłynęła na drugą stronę, znalazła ptaka i wróciła do mnie, jednak nie najbliższą drogą, tylko przez oddaloną o kilkaset metrów śluzę, potem zaliczyła jeszcze most nad śródpolnym rowem i zadowolona z wyczynu siadła przy mnie oddając zdobycz.

Z moimi suniami, a szczególnie z Alpą - gęsiarą polowałem wiele; w różnych miejscach, na różnych zbiornikach. Pamiętam pierwsze polowanie na obrzeżach milickich stawów, gdy strzelona gęś wylądowała za solidnym płotem pobliskiej posiadłości. Alpa nie mogła pokonać przeszkody, więc zaczęła podkopywać się pod siatką. Gęś odzyskaliśmy, przyniósł ją właściciel ogrodzonego terenu, za co otrzymał dwie sztuki na święteczny stół - bożonarodzeniowe święta były za pasem. Nieraz bałem się, że psina już nie wróci po pościgu za zbarczonym ptakiem. Z zapartym tchem obserwowałem,

jak z ogromnym trudem walczy o życie w bagnie, w które wpadła aportując zdobycz. Były też przygody śmieszne i te najczęściej wspominam. Kiedyś ze starszym kolegą polując w deszczu rozstawiliśmy się w odległych o kilkanaście metrów kępach trzciny, które wprawdzie chroniły przed przejmującym wiatrem, ale i tak było paskudnie. Woda lała się za kołnierza, a gąsek jak nie było, tak nie było. Miałem ochotę wracać, lecz głupio było rejterować skoro starszy kolega trwał na posterunku. Przykucnąłem więc i gadałem sobie z drżącą i przemokniętą psiną. W pewnym momencie pies stanął czujnie i przechylił głowę. Nasłuchiwał. Wkrótce i ja usłyszałem nadlatujące ptaki. Szły nisko zataczając kręgi nad zbiornikiem. Przy którymś nawrocie znalazły się w zasięgu naszych strzelb. Padły strzały. Widzę jak Mietkowa gęś spadła na piaszczystą łachę między naszymi stanowiskami, a moja do wody, skąd Alpa natychmiast ją podniosła. Nagle usłyszę wołanie przyjaciela – znanego z soczystego języka - który piękną poznańską gwarą przekrzykiwał wiatr – Bogdan puść Alpe – bo gyś sp..dalo. Okazało się, że zrobił dubleta, drugi ptak spadł na wodę. Sunia ładnie go zaaportowała. Miecio uradowany sukcesem radośnie wyściskał psinę. Zlekceważył zaś moją uwagę, że gęś szeroko trzyma skrzydła, więc nie jest martwa. Położył jedną i drugą obok siebie i zaproponował dalszą zasiadkę: „Bogdanku, jeszcze tylko z dziesięć minut!”. Nie przeszkadzał mu przenikliwy wiatr i ciągle zacinający deszcz. Chciał jeszcze. Co było robić, wróciłem na stanowisko, psina przytulila się do mojej nogi i czekaliśmy. Zapadł zmrok. Gęsi już nie nadleciały. Po chwili jednak usłyszałem nie głos, ale krzyk rozpaczliwego Miecia: „Bogdan, puść Alpe bo gyś sier..lyła!”. Miałem rację, szczwana gęś prysnęła na jezioro tuż spod Mieciowego gumofilca. Pies doszedł do brzegu, szukał w trzcinach, ale ptaka już nie znalazł. Porywisty wiatr od brzegu nie dał szans psiemu nosowi na złapanie wiatru, w ciemnościach je-





Gęsi gegawe

Fot. Bogdan Ludowicz

▶ siennego wieczoru nie przydał się nawet doskonały wzrok. Zmartwiony Miccio stwierdził, że „staro za chłolere nie uwierzy, że zrobił dubleta tylko jedna ućkła czyli beczelnie sier...”. Dałem mu swoją.

Za kilka dni Miccio zadzwonił: „Bogdan, weź suki bo gysi idom”. Wziąłem Alpe i Dakotę. Stanęliśmy na stanowiskach. Tym razem pogoda była inna; nad zalewem niebo za barwiło się niczym u najlepszych kolorystów - od purpury, przez złoto i zielenie, po granat. Gęsi szły słabo, ale strzeliliśmy po jednej. Na koniec Miccio wyciągnął z przepastnej torby puszkę kawy Jacobs – którą najbardziej lubił – dał mi mówiąc: „Dej to Hani, łyna tyż jom lubi wiyom ło tym, bo mi godała a dostołym jom łod dewizowca. To za tamtom gys”.

BOGDAN LUDOWICZ

Konkurs: „Poznaj swój region”

1. Kto jest laureatem nagrody „WK” w kategorii „za regionalizm” za rok 2009?
2. Gdzie i kiedy zginął major Franciszek Rost?
3. W jakich latach Władysław Pioch był burmistrzem Śmigła?
4. Kto jest patronem Szkoły Podstawowej nr 4 i Gimnazjum nr 4 w Kościanie?
5. Jaki jubileusz obchodziła wieś Kielczewo w czerwcu br.?

Wszystkie odpowiedzi na zadane pytania, poza jedną, Czytelnicy znajdą w tym wydaniu „WK”. Należy je spisać na kartce pocztowej i przesłać w terminie do końca października 2010r. na adres: Redakcja „Gazety Kościańskiej”, ul. Dworcowa 2, 64-000 Kościan lub wysłać na adres e-mail: redakcja@gk.media.pl. Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi wylosowane zostaną cenne nagrody książkowe.

*

Rozwiązanie konkursu pt. „Poznaj swój region” z poprzedniego numeru „WK”:

1. Kopaszewska Droga Krzyżowa wiedzie przez teren trzech parafii: Choryni, Wyskoci i Rąbinia.
2. Zespół Szkół nr 4 zwrócił się do Rady Miasta Kościana o nadanie szkole imienia Mariana Koszewskiego.
3. Wulkanolog dr Maurycy Komorowicz zmarł w Czempiniu.
4. W tym roku przypada 70. rocznica zbrodni katyńskiej.
5. Autorką powieści „Krzysztof Żegocki czyli oswobodzenie Kościana” jest Wanda Dobrzepolska czyli Emma Puffke.

Nagrody książkowe otrzymują: Zofia Ratajczak z Kościana i Jolanta Linke z Kościana

Fundatorami nagród (do odebrania w siedzibie redakcji: Kościan, ul. Dworcowa 2) są **Starosta Kościański i Burmistrz Miasta Kościana**